

## Marek B u ś – POWRÓT DO ŹRÓDEŁ NORWIDOLOGII\*

*Norwid. Z dziejów recepcji twórczości.* Wybór tekstów, opracowanie i wstęp  
Mieczysław Inglot. Warszawa 1983 ss. 576.

Los wydawcy cudzych tekstów zaiste nie jest godny zazdrości. Im lepiej wykona swoją pracę, tym bardziej jakby „znika we wykonaniu dzieła”, mniej zwraca na siebie uwagi, zaś w zasadzie najwyższą możliwą pochwałą jest konstatacja, że zrobił dobrze to, co do niego należało. Presja oczekiwań od wydawcy „gruntowności w robocie” i przestrzegania kanonów (przecież nie takich znowu klarownych) sztuki wydawniczej jest tak wielka, że trzeba bądź wyjątkowo sensacyjnego w swej trudności czy legendzie przedmiotu, bądź wyjątkowo rewolucyjnych (rewelacyjnych?) rozwiązań wydawniczych, niezwyklej staranności lub – przeciwnie – skandalicznego niedbalstwa wydawcy, aby jego praca zwróciła na siebie uwagę i stała się przedmiotem ożywionej dyskusji. Oczywiście: pierwszy wydawca *Króla-Ducha* czy *Vademecum* ma tu nieskończenie większe szanse zdobycia wydawniczej sławy niż wydawca tekstów krytycznoliterackich, choćby nawet i dotyczyły „sensacyjnego” przedmiotu.

Mimo wspomnianych uwarunkowań bardzo nikły odzew krytyczny na *Norwida*<sup>1</sup> musi zastanawiać i świadczy chyba o prawie zupełnym zaniku publicznej dyskusji nad kwestiami, które powinny zapewne obchodzić ogół czytelników, a tym bardziej badaczy i krytyków literackich. Zdawać by się bowiem mogło, że powód do dyskusji był wręcz wymarzony: oto w dużej księdze ukazuje się dwieście najrozmaitszych wypowiedzi o Norwidzie, wybranych i opracowanych w sposób śmiały, poniekąd łamiący konwencję serii wydawniczej, której książka jest kontynuacją, wszystko to ma miejsce w owym pełnym rocznicowego norwidowskiego zgiełku i licznych konferencji, acz duszną atmosferą stanu wojennego roku 1983.

---

\* Tekst M. Busia jest znacznie obszerniejszy niż recenzje ogłaszane w „Studiach”. Drukujemy go jednak w całości, ponieważ przerasta on ambicje gatunku i przekształca się – dzięki wszechstronności i skłonności do uogólniania – w rozważania o tym, jak powinno się opracowywać antologię tekstów z zakresu wiedzy o literaturze, zwłaszcza tych, które mają ukazać dzieje recepcji twórczości (Redakcja).

<sup>1</sup> O książce pisali: Z. Florczak („Nowe Książki” 1984 nr 5 s. 69-71), J. Marx („Poezja” 19:1984 nr 6/7 s. 197-203; „Odrodzenie” 1984 nr 18 s. 2), N. Taylor (*Norwid wśród czytelników*. „Gazeta Niedzielną” (Londyn) 36:1984 nr 45 s. 5), J. Zieliński (*Nie*. „Twórczość” 40:1984 z. 9 s. 153-154), P. Siekierski („Przegląd Humanistyczny” 31:1987 nr 3 s. 174-178).

Nikłe przyjęcie krytyczne nie miało oczywiście żadnego wpływu na sukces księgarski wyboru, który rozszedłby się szybko i przy znacznie większym nakładzie, co zresztą w sytuacji znikania z półek wszelkich, najmniej nawet wydarzonych rzeczy z Norwidem w tytule niewiele mówi o faktycznym przyjęciu książki. Czyżby jednak rzeczywiście *Norwid* należał do pozycji nie dających pobudek do dyskusji? Czyżby istotnie wydawca zrobił swoje – bo wydał, czytelnicy zrobili swoje – bo kupili, a razem „ucztiliśmy poetę aż miło” w dymie rocznicowych wyziewów i kadzideł?

Nie wydaje się, żeby sprawa Norwida, także w jej wymiarze recepcyjnym, była zamknięta, a dzieje recepcji poety zasługiwały tylko na rolę obiektu muzealnych wykopalisk dla pracowitych i niezbyt inteligentnych seminarzystów. Nie wydaje się też, aby wybór nikłej zaledwie części rozmaitych świadectw recepcji załatwiał sprawę udostępnienia dorastającej, a mającej się ku poecie młodzieży, nauczycielom, nie mówiąc już o tzw. badaczach, wystarczającej „źródłowej” strawy, społeczeństwu zaś – poczucia godziwie spełnionego wobec poety obowiązku. Nawet gdyby omawiany wybór był o wiele obszerniejszy, w pełni (w dostępnej skali) reprezentatywny i wzorowo opracowany, to przecież rysujący się w nim obraz poety i norwidologii, propozycje interpretacyjne wstępu i komentarzy, powinny by wzbudzić dyskusję. Trudno wyrokować, czy zawiniła tutaj opieszałość potencjalnych recenzentów, nie sprzyjające innym niż polityczne dyskusjom czasy, czy źle pojęta delikatność wobec wydawcy.

Antologia Mieczysława Ingłota ma bowiem wiele właściwości, które powinny by pobudzać do zajęcia wobec niej stanowiska. Jest bez wątpienia książką atrakcyjną, miejscami sensacyjną, w znacznie większym niż inne tomy tej serii<sup>2</sup> autorską, eksponującą rolę wydawcy. Nie ma nic z rutynowego zestawienia źródeł, jest bez wątpienia propozycją interpretacji dziejów sporów o Norwida i – pośrednio – interpretacji samego poety. Solidnie (w księgarskim sensie) wydana, zaleca się przy tym szeregiem nieczęstych w tego typu zbiorach urozmaiceń w formie skracania tekstów, doboru głośnych autorów, zróżnicowania układu, przyciągających uwagę tytułów, obszernych, daleko wykraczających poza konieczne minimum komentarzy językowych i rzeczowych.

Gwoli jednak pełnej satysfakcji czytelnika nieodzowne jest, aby śmiałości zamierzeń towarzyszyła jakość wykonania, niezawodność realizacji, czyniąca z wyboru i wiarygodne źródło, i pobudzający czytelnika, lecz nie wiodący na manowce przewodnik po norwidologii. Tak rzecz biorąc trzeba powiedzieć, że antologia niniejsza odznacza się – jak by powiedział W. Borowy – swoistym geniuszem błędzenia, rozdarcie między intencją a realizacją; błyskotliwym wyborem, pomysłem komentatorskim towarzyszą przeliczne błędy, potknięcia, niefortunne rozwiązania, a także całe tuziny zwykłych niedopatrzeń i przekręceń, aż po błędy zupełnie mechaniczne, wyni-

---

<sup>2</sup> W cyklu PWN „Z dziejów recepcji twórczości” ukazały się: *Żeromski* (oprac. Z. J. Adamczyk), Warszawa 1975; *Reymont* (oprac. B. Koc), Warszawa 1975; *Kochanowski* (oprac. M. Korolko), Warszawa 1980; oraz – już po *Norwidzie* – *Prus* (oprac. E. Pieścikowski), Warszawa 1988.

kające prawdopodobnie z pośpiechu i niedbalstwa. Prawda, że norwidologia ma przebogate tradycje różnych błędzeń edytorskich i krytycznych, wyciskające swe piętno także na praktyce współczesnej. Czymże jest tych kilkadziesiąt czy paręset nie-dopatrzeń wobec wyczynów w tym zakresie np. Piniego, który pobłądził tysiące razy? Nie wydaje się jednak, aby takie zestawienia stanowiły dostateczne pocieszenie w obliczu rzeczywistych niedoskonałości wyboru, bardzo utrudniających korzystanie z niego z pożytkiem.

Nie jest bowiem antologia – przy wszystkich jej zaletach – książką udaną i może wzbudzać wiele znaków zapytania, zastrzeżeń, aktów niezgody na zawarte w niej propozycje. Takie akty niezgody, niestety nieliczne, się pojawiły – wspomnieć warto o króciutkiej nocie Jana Zielińskiego, mówiącej NIE potknięciom dostrzeżonym głównie w erudycyjnej warstwie przypisów, oraz o recenzji Pawła Siekierskiego, koncentrującej uwagę krytyczną na kwestiach niewłaściwego – zdaniem recenzenta – wyboru: zarówno autorów, jak ich prac<sup>3</sup>. Wiele takich NIE, odnoszących się także do generalnych założeń antologii, pojawiło się w moich z nią spotkaniach, prowokując – wobec nikłości dotychczasowej dyskusji – do bardziej systematycznego rozważenia zarówno przyjętych przez wydawcę zasad, jak i sposobu ich zastosowania.

Dystans kilku lat, jakie upłynęły od momentu ukazania się książki, stawiać może kwestię pisania o niej recenzji pod znakiem zapytania. Można by zapytywać, czy warto „[...] wzruszać [...] wieko księgi, / Mięszając spokój autora” (PWSz 2, 227). Ponieważ jednak przeznaczeniem omawianej księgi nie jest jakaś sezonowa atrakcyjność, lecz stałe i na dziesięciolecia zamierzone funkcjonowanie w świadomości kulturalnej narodu, ponieważ jest ona – jak dotąd i pewnie długo jeszcze – propozycją w norwidologii jedyłą, pojawiła się przy tym w ambitnie zamierzonym cyklu PWN-u – istnieje niewątpliwie potrzeba pełniejszego rozpoznania jej właściwości. Rozważania niniejsze nie mogą oczywiście zrezygnować z podstawowej funkcji recenzji – poddania dyskusji istoty i jakości omawianej pracy, dającej czytelnikowi (i wydawcy – w ewentualnym kolejnym wydaniu) możliwość uwzględnienia zaproponowanych korektur (jeśli, rzecz jasna, mogłyby zostać uznane za słuszne). Sprawa ważniejszą wydaje się jednak poszukiwanie (i dla potrzeb norwidologii, i ogólniejszych) optymalnego modelu antologii tekstów krytycznych dotyczących danego pisarza, jej zasadniczych celów i pożądaných form realizacji.

W takiej perspektywie nie będzie chyba nadużyciem dyskusyjnej rzetelności częściowa rezygnacja z obowiązku wydobywania i podkreślenia wszystkich zalet książki; one zresztą bronią się w czytelniczym funkcjonowaniu same. Jeśli więc częściej będzie tu mowa o tym, co się n i e u d a ł o, to – mam nadzieję – nie gwoli pasji tropienia wad, ale poszukiwaniu sposobów ich unikania.

Ustalając kryteria wyboru i zasady opracowania tekstów miał autor już pewne utarte wzory w poprzednich wyborach z cyklu „Z dziejów recepcji twórczości” – dotyczących Żeromskiego, Reymonta i Kochanowskiego, wzory po części też umotywowane we wstępach do antologii. Trzeba zaznaczyć, że nie ma tu mowy o iden-

---

<sup>3</sup> Zob. przypis 1.

tyczności sytuacji, która mogłaby pozwolić na tożsamość zasad wyboru zawartości poszczególnych tomów. Jeśli nawet ograniczymy kontekst porównawczy omawianego tomu do zbiorów poświęconych Kochanowskiemu i Żeromskiemu, to przy dostrzeżeniu analogii w relacji Kochanowski – Norwid (obaj to przede wszystkim poeci, podobna, wysoka ranga twórczości) i Żeromski – Norwid (sprawa „gorącości” i kontrowersyjności recepcji), trudno nie uznać zasadniczych racji, wykluczających tożsamość rozwiązań. Zbyt wielcy to twórcy i zbyt swoiście przebiegały ich życiowe i pośmiertne losy. Istnieje jednak w książkach poprzednich pewna sfera zgody co do niektórych fundamentalnych założeń. Zakłada się więc wybór integralnych tekstów, zwraca się uwagę, aby były to teksty nie zdezaktualizowane<sup>4</sup>, spośród tekstów równie godnych zamieszczenia preferencję daje się trudniej dostępnym. Wybory Mirosława Korolki i Zdzisława Adamczyka znacznie się jednak różnią w kwestii dziedzin, z których się przede wszystkim wybiera. Nie bez znaczenia jest tu dystans paru setek lat między „klasycznym” Kochanowskim a „współczesnym” Żeromskim. Przy Kochanowskim akcent pada na b a d a c z y jego twórczości, to „dzieje badań i recepcji”. Tendencja ta widoczna jest w skrupulatności przestrzegania zasady nieskracania tekstów (chyba że po uzyskaniu zgody żyjących autorów), w dokładności noty bibliograficznej (rejestrującej także przedruki). Wybór prac o Żeromskim, przeciwnie, w zasadzie rezygnuje z sądów naukowych (mniej skądinąd w wypadku tego pisarza ustalonych), koncentruje się zaś na próbie ukazania całej żywości i rozległości recepcji, o wiele wyrazistszej w pracach krytycznych i publicystycznych.

Powyższe ukierunkowania wpłynęły na rozłożenie się dominant: w centrum pierwszej książki stoi zagadnienie poznania życia człowieka i dzieła poety, w drugiej dominuje centralne w sporach zagadnienie „zawartości umysłowej” (s. 16) dzieła Żeromskiego, postawa ideologiczna, polityczna, moralna twórcy, a także rozważania wokół form aktualności Żeromskiego w kolejnych okresach recepcji.

Redaktorzy obu książek wyłączają recepcję filmową, teatralną, a także głosy świadczące o różnych przejawach kultu pisarza. Tendencji do ograniczenia zakresu ingerencji w podaniu tekstów towarzyszy ograniczenie komentarza i przypisów do niezbędnego w rozumieniu wydawców minimum.

Antologia poświęcona Norwidowi przyjęła kształt, który po pobieżnym rozejrzeniu się w niej można określić jako najbardziej w ramach cyklu atrakcyjny, nastawiony na pozyskanie także (a może przede wszystkim) czytelnika nieprofesjonalnego. Wspomnianą atrakcyjność fundować może szereg jej cech: różnorodność typografii i podziałów wewnętrznych, różnorodność tekstów, widoczna już w kategoriach ilościowych: jest ich tutaj czterokrotnie więcej niż w niewiele szczuplejszej książce o Żeromskim i dwukrotnie więcej niż w obszerniejszym *Kochanowskim*, rozmiar tekstów waha się od paru linii do kilkunastu stron.

W perspektywie gatunkowej znajdziemy tu fragmenty wspomnień, relacji podróżnych, dekrety i uchwały różnych władz, organizacji i stowarzyszeń, manifesty artystyczne, zapisy dyskusji, świadectwa korespondencyjne, intymne zapiski, wywiady

---

<sup>4</sup> Zob. *Kochanowski* s. 5.

z badaczami i artystami, ankietę, nawet fragment homilii papieskiej, nie mówiąc już o różnych formach publicystyki i krytyki. Taka mnogość i różnorodność świadectw nastęrczać może wielu trudności w poddaniu antologii jakiejś jednolitej w miarę zasadzie selekcyjnej, kompozycyjnej i redakcyjnej. Zwróćmy uwagę, że w wypadku Norwida dominanty nie rysują się tak wyraźnie jak w materiałach dotyczących Kochanowskiego i Żeromskiego: z równym powodzeniem można by nadać książce orientację „badawczą”, jak i aktualizującą, bardziej socjologiczną.

Przyznać też trzeba, że wiele ze wspomnianych świadectw odbioru już z natury cechuje się fragmentarycznością, wiele zostało okaleczonych przez upływ czasu. Czasem jest to tylko parę zdań, pochodzących z wypowiedzi nie mającej poza tym nic z Norwidem wspólnego, ale charakterystycznych ze względu na osobę autora, odkrywczość sądu lub szczególny stosunek do poety. Można pytać, czy zasadne jest wprowadzanie takich okruczków, faktem jest jednak, że pośród świadectw recepcji Norwida zajmują one miejsce znaczące, w XIX w. zaś ta forma funkcjonowania opinii o poecie wyraźnie dominuje. Tak więc wydawca mógł się czuć w pewnym zakresie zmuszony do korzystania z fragmentów, przeważnie pozbawionych autonomicznych tytułów, co w edycjach dotyczących „normalniejszych” pisarzy nie występuje w tej skali lub zostało już wcześniej utrwalone w tomach „wspomnień o...”, kalendarzach życia i twórczości itp. wydawnictwach, będących dla materiałów tego typu miejscem najodpowiedniejszym.

Wydawca *Norwida* wykazał daleko idącą (choć po części ułatwioną przez Miriamę i Gomulickiego) odkrywczość w wyszukiwaniu takich śladów recepcji poety, także w czasach nowszych. Zadbął także o te wymiary atrakcyjności książki, które wiążą się z opracowaniem: wprowadzenie w ramach chronologii także podziałów problemowych, atrakcyjność tytułów, rozbudowanie komentarza. Preferencja dla ujęć krytycznoliterackich (przy pojmowaniu w praktyce tego pojęcia jako pojemnego worka) i „zasada fragmentaryzacji”, odnoszona także do tekstów w pierwodruku nieobszernych, zdają się służyć temu samemu celowi: aby powstała książka do czytania, dająca jak najwięcej pobudek i stawiająca rozumieniu czytelnika możliwie najmniej przeszkód.

Jeśli jednak końcowy efekt tych zabiegów – sama antologia – sprawia zawód, to rzecz tym bardziej godna jest zastanowienia. Ze względu na mnogość i wagę wyłaniających się zagadnień niezbędne wydaje się poddanie niniejszych rozważań jakiejś regule porządkującej. Tak więc omówione zostaną kolejno – z uwzględnieniem ich wzajemnych związków – elementy charakterystyczne dla wszelkiej edycji tego typu, a mianowicie wybór i układ, sposób opracowania („podania”) tekstów, przypisy, wreszcie spinający całość esej wstępny. Celem nadrzędnym będzie próba rekonstrukcji wyłaniającej się z antologii wizji dziejów recepcji Norwida i rozważenia stopnia jej trafności, adekwatności względem dostępnego badaniom materiału.

Kwestia wyboru tekstów przedrukowywanych jest w każdej antologii sprawą centralną, a jednocześnie niezwykle drażliwą. Zakłada się – i słusznie – że wybór jest domeną swobody wydawcy, że pewien subiektywizm jest tu rzeczą nieuniknioną, a przy tym pożądaną, jeśli antologia ma posiadać własny charakter, a nie być mechanicznym zlepkiem. Jednocześnie jednak sami antologisci uważają za potrzebne swój wybór uzasadnić, a przynajmniej zaprezentować stosowane kryteria, przedstawić własną metodę. Ma to miejsce nawet w odniesieniu do zbiorów tak trudno poddających się racjonalnym kryteriom porządkującym jak antologie poezji. Nieprzypadkowo więc np. wstęp Borowego do antologii *Od Kochanowskiego do Staffa*, koncentrujący się na uzasadnieniu przyjętych kryteriów wyboru, niepostrzeżenie jakby przemienił się w swoisty traktat na temat pojmowania natury poezji, sposobów jej wartościowania i rozumienia, form jej reprezentatywności – jeden z najważniejszych w międzywojniu. W późniejszym omówieniu zaś sposobu przyjęcia wyboru autor napisał:

Każda antologia, o ile nie ma być zbiorem dowolności, musi mieć naprzód ustalone kryteria i kryteria te należyte stosować. [...] Krytyka też antologii musi iść dwiema drogami: oceniać słuszność kryteriów i poprawność ich zastosowania w praktyce<sup>5</sup>.

Zgadzać się więc z poglądem, że „subiektywność wyboru jest naturalnym przywilejem każdej chrestomatii”<sup>6</sup>, rozważać jednak można zasady (sformułowane lub widoczne w przyjętych rozwiązaniach), jak i konsekwencję w ich zastosowaniu. Ponadto jeśli zważymy, że mamy przed sobą wybór „źródeł”, co wydawca we wstępie (s. 9) potwierdza i co jest podstawowym założeniem całej serii wydawniczej, rzeczą nieobojętną jest rozważenie, jak wydawca z przysługującej mu wolności skorzystał, jak ma się zawartość antologii do całości dostępnego materiału – a więc kwestia reprezentatywności wyboru. Każdy wybór bowiem jest obrazem pewnej szerszej domeny, do której odsyła i którą reprezentuje, ważne więc staje się, jakie części i aspekty całości znalazły w nim odzwierciedlenie, w jaki sposób rezultaty uwarunkowane są przyjętymi kryteriami i sposobem ich użycia. Odpowiedź na powyższe pytania może być ważna także dla tej całości i sposobu jej współczesnego widzenia, wybór jest zawsze interpretacją, ta zaś rzuca określone światło na własny przedmiot i może być wartościowana jako trafna lub nie, świadoma lub przypadkowa, odsłaniająca lub deformująca naturę tego przedmiotu.

W antologiach takich jak omawiana kwestią prymarną staje się najprawdopodobniej element utilitaryzmu, wiążący się z pytaniem: komu, do jakich celów i w jakim charakterze wybór ma służyć? Otóż wydaje się, że – zwłaszcza w sytuacji znanych powszechnie zaniedbań w zakresie rzetelnych reedycji piśmiennictwa naukowego i krytycznego w ogóle, a norwidologicznego w szczególności – za

---

<sup>5</sup> Zob. W. B o r o w y. *Studia i szkice literackie*. Wybór i oprac. Z. Stefanowska i A. Pałuchowski. T. 2. Warszawa 1983 s. 83.

<sup>6</sup> *Kochanowski* s. 5.

podstawową kategorię odbiorców uznać trzeba raczej tych, którzy sięgną do wyboru motywowani poznawczymi potrzebami profesjonalnymi (badacze, krytycy) bądź edukacyjnymi (nauczyciele, studenci, miłośnicy literatury), niż poszukiwacze atrakcji, rozrywki, socjologicznych czy psychologicznych ciekawostek. Sięgną jako przewodnika, do pośrednika ułatwiającego dostęp do tego, co w norwidologii (szeroko pojmowanej) nadal żywe, cenne, ważne, warte poznania.

O wyborze Mieczysława Inglota powiedzieć można, że został przygotowany na podstawie dyrektywy reprezentatywności, rozumianej jednak głównie jako postulat różnorodności, maksymalnej koncentracji rozmaitych świadectw recepcji, pochodzących najczęściej, co próbowano uzasadnić we wstępie, spoza dziedziny „oficjalnych”, historycznoliterackich badań nad poetą. Starano się więc uchwycić bardziej socjologiczny niż literaturoznawczy czy kulturowy aspekt recepcji. Manifestując wszechobecność Norwida w świadomości kolejnych pokoleń, książka jednak niejako „zradza” Norwida; nosząc tytuł „Norwid”, koncentruje się na *c z y t e l n i - k a c h* poety, prezentuje ich sądy, przekonania, postawy, fobie, będące bardziej „w związku z Norwidem”, „wokół Norwida” niż „o Norwidzie”. Powtarzając w tytule seryjną formułę „z dziejów recepcji twórczości”, koncentruje się jednak na dziejach *s ł a w y* (niesławy) poety. Tę przewagę roli „bycia wyrazem” nad rolą „bycia znaczeniem”, roli atrakcji nad rolą źródła danych dostrzec już można w tym, że w edytorskim omówieniu zasad wyboru w ogóle nie pojawia się zagadnienie sądów (wypowiedzi) zdezaktualizowanych (zajmujące centralne miejsce w tomie o Kochanowskim), kwestia większej lub mniejszej dostępności przedrukowywanych tekstów, a więc sprawy we wszelkich ujęciach źródłowych istotne. Jakże to rodzi konsekwencje?

Dialog argumentów, sądów, odkryć analitycznych i interpretacyjnych jest w książce wypierany przez dialog postaw; w mniejszym stopniu krytycznych niż personalnych, publicystycznych czy politycznych gier, sporów. Perspektywa oglądu przesuwana się z tego, co merytoryczne, problemowe, żmudne, ale trwałe, na to, co przede wszystkim ciekawe, szczególne, nie nużące, anegdotyczne. Przy identycznej formule „z dziejów recepcji...” (Korolko dodaje też „badań”), w żadnym jednak z tomów nie nastąpiło tak zasadnicze przesunięcie punktu ciężkości z „twórczości” na „legendę”, „mit”, zjawisko; przesunięcie, które w wypadku Norwida czyni ową seryjną formułę wyraźnie w stosunku do zawartości książki nieadekwatną. Mamy tu bowiem raczej wybór „z dziejów «zjawiska: Norwid»”, w którym rzeczy w recepcji poety i myśliciela zasadnicze przesunęły się na dalszy plan, ustępując zbyt chyba często miejsca towarzyszącym każdemu procesowi recepcji zjawiskom ubocznym, marginalnym, skandalizującym, krzykliwym. Powstała książka niewątpliwie fascynująca i zapewne potrzebna, jednak chyba jako funkcjonująca obok, nie zaś *z a - m i a s t* opracowania źródłowego. Przepadł bowiem gdzieś z kretesem – jako temat – trud wydawniczy paru pokoleń, przepadł wysiłek (i obraz) ustalania się w toku recepcji generalnych modeli interpretacyjnych, zniknęły spory tekstologiczne i analityczne – ale wyłyknęły ciekawe może dla psychologa wynurzenia Komornickiej, falsyfikaty Czernickiej, prasowe „pyskówki” Nowaczyńskiego, kuriozalne opinie Piniego czy (podobno) Zegadłowicza.

Świadomy, reprezentatywny wybór ma miejsce, gdy osoba wybierająca widzi w miarę dokładnie całość, z której wybiera, i przyjmie stosowne kryteria. O tym jednak przedmowa skromnie milczy, sprowadzając rzecz do uzasadnionych skądinąd utyskiwań na mnogość aktów recepcji, zróżnicowanie dorobku Norwida i „gatunkową wielonurtowość recepcji” (zob. s. 30-31), a przede wszystkim do niezbyt zachwycających klarowności rozważań nad rzekomo centralną, a w istocie chyba źle postawioną kwestią wyboru „między historycznoliterackimi a krytycznymi ujęciami dorobku Norwida” (s. 32), podbudowanych cytatami z Jerzego Kmity. W istocie, o ile rezygnacja z wierszy o Norwidzie i z prezentacji „sceniczných dziejów” twórcy *Pierścienia Wielkiej-Damy* wydaje się uzasadniona, to wyrugowanie prac uznanych za „naukowe” wzbudzać musi wątpliwości. Trudno zrozumieć, dlaczego wydawca czuje się postawiony przed nierozwiązywalnym na drodze kompromisu dylematem, ufundowanym zresztą na wątpliwej jakości przeświadczeniu o zasadniczej odmienności tych dwu typów refleksji humanistycznej, zwłaszcza jeśli czynnikiem różnicującym miałyby być logiczna zwartość wywodu (s. 33). Zagadnienie zostaje więc nie tyle rozwiązane, co arbitralnie przecięte:

Wywód naukowy tworzy ciąg logicznie zwarty, nie poddający się procesowi fragmentaryzacji, który obowiązuje w niniejszym wyborze. [...] Stąd też zebrane w niniejszym tomie teksty ujawniają w pierwszym rzędzie sądy krytycznoliterackie, czyli przedstawiające system «własnych przeświadczeń odbiorcy, rzutujących automatycznie na osobę twórcy». Są one problemowo najbardziej powiązane ze swoją współczesnością. Na polu uprawianym metodami krytycznoliterackimi spotykają się z Norwidem zarówno wybitni historycy literatury, jak i krytycy, poeci i publicyści (s. 33).

Jak widzimy, rozstrzygnięciu nie można odmówić jednoznaczności, w praktyce jednak nie tak o nią łatwo i sam wydawca nie zdołał (na szczęście) wytepić w samobójczym wobec własnej profesji geście wszystkiego, co „naukowe”. Ponadto, niezależnie od współczesnej wyrazistości i przydatności omawianego rozróżnienia (raczej dyskusyjnej), cofanie go w czasy dawniejsze jest oczywistym anachronizmem. Bez wątplenia bowiem i Kołaczkowski, i Kridl, i Sinko traktowali swe wypowiedzi o Norwidzie jako zasadniczo naukowe, co nie przeszkadzało im drukować ich nieraz w pismach o najprzeróżniejszym charakterze, nawet codziennych. Z drugiej strony – nie wszystkie norwidiana z „Pamiętnika Literackiego” czy „Ruchu Literackiego” ów wymóg „naukowości” spełniają, spotykamy tam przy tym wiele rzeczy nieobszernych, nie wymagających „fragmentaryzacji”. Czy to nie szokujące, że w antologii te pisma, o długiej i bogatej historii, nie są w ogóle prawie reprezentowane?

Wróćmy jednak do zasad, które wzbudzają wątpliwości. Największą – pewien fatalizm, że „proces fragmentaryzacji” jest nieunikniony, a jednocześnie ma prawo w antologii „obowiązywać”. Mimo poważnie brzmiącej nazwy idzie przecież o wystrzyganie fragmentów z pewnych całości i fakt, że rozbijane będą teksty o innej niż logiczna dominancie zwartości nie jest tu wielką pociechą. Czyż bowiem jest tak, że mamy prawo dokonywania „fragmentaryzacji”, jeśli tylko nie sprzeciwia się temu „logika wywodu naukowego”? A co z logiką wywodu krytycznego czy eseistycznego, co z różnymi wyrazami „ponadlogiczności”, np. zwartością budowaną drogą



metaforyzacji? Wydawca pisze, że chodzić będzie głównie o „sądy krytyczno-literackie”, czy jednak sądy to to samo co „zdania” (w sensie tekstowym), które w dowolnych zestawach można wrywać z całości? Można zasadnie mówić o sądach, jeśli wierzymy, że są one językowym (mentalnym) wyrazem postaw krytycznych, tych właśnie „własnych przeświadczeń odbiorcy rzutujących automatycznie na osobę twórcy”. Być może nawet jest tak, że dotarcie do istoty przeświadczeń autora i ich uszanowanie jest rzeczą bardziej skomplikowaną tutaj niż tam, gdzie „sąd o pisarzu składa się z przekonań dających się, przynajmniej teoretycznie, przypisać faktycznemu twórcy dzieła” (jeśli przyjmujemy przytaczane we wstępie rozróżnienie J. Kmity, s. 32, 33).

Mówiąc inaczej: w wypadku wypowiedzi krytycznej czy publicystycznej takie rzeczy jak rozmiar tekstu, jakość i uporządkowanie elementów, stosunek do istniejących wzorców krytycznych, nawet czas i miejsce druku – odgrywają często niepoślednią rolę w naszej ocenie postawy krytyka. W wypowiedzi „naukowej” chyba trochę inaczej. Wprowadzając np. w pismach naukowych praktykę drukowania autorskich bądź redakcyjnych streszczeń rozpraw czynimy to zakładając, że mogą one być jakimś tam ekwiwalentem obszerniejszych całości, taki charakter mogą mieć też wszelkie podsumowania na końcu artykułów czy książek. Dalej – tekst naukowy może być traktowany jako w pewnym sensie anonimowy; zwłaszcza w naukach tzw. ścisłych wiedza o osobie twórcy wywodu, nawet znajomość jego nazwiska, wydaje się dla zrozumienia istoty rzeczy sprawą drugorzędną. Jakże inaczej w publicystyce! Kwestie, k t o napisał, jaki jest gatunek i rozmiar tekstu, w jakim piśmie, kiedy i w jakim sąsiedztwie rzecz została ogłoszona, jakie były uwarunkowania sytuacyjne – niejednokrotnie mają, jako „fakty literackie” czy społeczne, doniosłość większą niż merytoryczna zawartość tekstu, do tego stopnia, że w określonej sytuacji znaczenie uzyskać może nawet wstrzymanie się danego krytyka od głosu lub podpisanie tekstu kryptonimem.

Trzeba się więc zgodzić, że niebezpieczeństwo deformacji prowadzących do niezrozumienia (lub – częściej – złego rozumienia) jest w odniesieniu do uprzywilejowanych przez Inglota grup świadectw wcale nie mniejsze, że dawanie urywków wszędzie tam, gdzie dostępna jest nam całość, jest praktyką złą, choć czasem trudną do uniknięcia. Jeśli dla istotnych powodów musimy ją przyjąć jako „zło konieczne”, powinno to zostać okupione wyjątkową starannością opracowania edytorskiego. Wydawca był zresztą chyba tego świadom, wprowadzając dodatkowe informacje w notach i przypisach i raczej niespotykaną praktykę streszczania niektórych opuszczonych fragmentów. Jednak skuteczność wspomnianych zabiegów jest osłabiana i przez czasem niefortunną ich realizację (o czym jeszcze będzie mowa), i przez niczym (poza wątpliwymi walorami „estetycznymi”) nie usprawiedliwioną decyzję nieoznaczania opuszczeń na początku i końcu przedruku, dezorientującą czytelnika w tak podstawowych kwestiach jak świadomość, czy ma on do czynienia z całością, czy z fragmentem, możliwość ustalenia miejsca tekstu w ewentualnej całości itp.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej zawartości i kompozycji antologii, mając na oku głównie jej reprezentatywność, ujmowaną nie tyle z perspektywy tzw. stanu badań (w tym zakresie rzeczowe stanowisko zajął Paweł Siekierski), co z perspektywy

ogólniejszej, tego, co chciałoby się widzieć jako w dotychczasowej recepcji Norwida żywe, najważniejsze, wyznaczające jej główne linie.

Nie wzbudza zastrzeżeń zasadniczo chronologiczny układ głównych części antologii i nadanie im tytułów: *Norwid a współcześni* (można by dodać: „jego”), *Młodopolskie spotkania z Norwidem, Dwudziestolecie, Lata ostatnie*. Zasadne też wydaje się wydzielenie na końcu wyboru świadectw i opinii obrazujących zagraniczną recepcję poety, jakkolwiek tytuł *Tłumaczenia* nie jest najszcześniejszy, zwłaszcza że znajdujemy tu także teksty pisane po polsku. Podstawowy wymiar interpretacyjny i porządkujący mają jednak wprowadzone w ramach epok podziały zagadnieniowe, one są głównym sygnałem tego, co wybierano, w jakim porządku i proporcjach. Tu zaś mogą rodzić się kontrowersje. Dotyczyć one mogą i trafności wyłonienia poszczególnych grup problemowych, i wyboru reprezentujących je tekstów, i tych zabiegów kompozycyjnych, które wiążą się z uporządkowaniem grup oraz ich zawartości, z praktyką tytułowania działów, a także opatrzonych „tytułem od redakcji” tekstów.

Klarowny jest podział wypowiedzi w części pierwszej, powstałych przed rewelacjami Miriama, na *Biografię* i *Dzieło*, choć w wielu wypadkach rzeczy te splatają się w sposób trudny do rozłączenia. Docenić też trzeba rozległość tej części. Wydaje się nawet, że postulatem idealnym byłaby tu kompletność świadectw, przynajmniej w planie bibliograficznym. Wątpliwości wzbudza natomiast rozbitcie niespełna 60-stronicowej części młodopolskiej na trzy działy: o ile jeszcze dość wyraźnie daje się wyłonić *Odkrywców* (w pewnym rozumieniu tego słowa), to trudno to powiedzieć o *Apologetach* i *Krytykach*. Nazwa „krytycy” użyta jest tu chyba – w opozycji do „apologetów” – raczej w znaczeniu „krytykanci”, ludzie niechętni Norwidowi, trudno bowiem większości zamieszczonych tu autorów przyznać – na podstawie wybranych tekstów – miano krytyków, a ich sądom walor sądów krytycznych we właściwym sensie tego słowa. Zważmy przy tym na dezinformujący charakter tytułów: termin „krytyk” odnoszony jest przede wszystkim do człowieka pewnej profesji, literackiego specjalisty, i sugeruje kompetencję, przeciwstawioną amatorszczyźnie odkrywców czy bezkrytyczności apologetów. W danym tutaj przypadku powstają zbiory raczej nierozłączne, co sprawia, że np. Wiktor Gomulicki powinien by znaleźć się we wszystkich trzech grupach, wypowiedzi uznane za „apologetyczne” nie są wolne od elementów dystansu (Miciński, Brzozowski), odkrywcy (zwłaszcza Miriam) są jednocześnie apologetami i osiągają pułap refleksji krytycznej (we właściwym znaczeniu) zupełnie niedostępny uznanym za „krytyków” autorom ujęć jaskrawie „niekrytycznych”, bliższych raczej poziomowi humoresek krytycznych.

*Dwudziestolecie* podzielone zostało na *Biesiady i potyczki z Norwidem, W kręgu pięćdziesięciolecia śmierci* i *Spory wydawnicze*. To, czy podział uznamy za ujmujący centralne kwestie recepcji tego okresu, zależy będzie m.in. od ustalenia, co kryje się pod tytułem pierwszego działu. Wskreszenie terminu „biesiady” nie wydaje się specjalnie udatne, nie bardzo też wiadomo, które z przedrukowywanych tekstów miałyby być takiego biesiadowania przykładem. W większości mamy tu bowiem do czynienia bądź z zarysem problemu (Janowski, Zdziechowska) czy sylwetki poety (Czachowski), bądź z aktualizującymi Norwida fragmentami książek (Piechal, Wasilewski), bądź wreszcie z czymś, co można oczywiście nazwać potyczkami (nie tyle

„z Norwidem” co „wokół” bądź „o Norwida”), choć przypomnienie sobie, co Norwid sądził o zamienianiu „bitew” w „potyczki” powinno działać raczej zniechęcająco. Zaprezentowane tutaj przykłady „potyczek z Norwidem” doskonale pokazują (bez żadnej manipulacji ze strony wydawcy) zadziwiające nieprzygotowanie pojedynkowniców, jednostronność i zazwyczaj zawodność użytej broni, nawet jeśli w szranki wchodził szermierz na innych polach tak skuteczny jak np. Irzykowski.

Dział „rocznicowy” przynosi więcej tekstów wartościowych, w tym przykłady recepcji plastyki Norwida i radiowych inscenizacji jego utworów. Dominuje wyraźnie dobór ujęć aktualizujących nad analitycznymi, poznawczymi. Można by pytać, czy artykuł Sinki nie pasuje bardziej do „potyczek”, a zamieszczone tam *Wspomnienie Czechowicza* – tutaj. Wobec bogactwa powstałych około r. 1933 prac nie wydaje się uzasadnione zamieszczenie aż dwu rzeczy dotyczących plastyki Norwida, lepiej chyba było ograniczyć się do, zdaniem Borowego, „najkrytyczniejszej” pracy Schroedera, a w zamian dać w następnej części w całości rozprawę Jerzego Sienkiewicza z 1946 r.<sup>7</sup> lub coś z nielicznych opracowań nowszych. Lepiej też zapewne pokazałyby to, co zrobiło „Polskie Radio ku czci Norwida”, trzy krótkie notki („Radio” 1933 nr 13, 20, 22), omawiające nie tylko radiofonizację *Kleopatry*, ale też szereg innych wystąpień i odczytów, o których wzmianka w przedrukowanym tekście została zresztą zostawiona bez komentarza. Nie wydaje się, aby Władysław Arcimowicz, który poświęcił Norwidowi wiele lat życia i kilkaset stron druku, był szczególnie zadowolony, że za reprezentację jego dorobku uznano właśnie drukowany w piśmie codziennym rocznicowy artykuł, dodatkowo skrócony i opatrzony wymownym „sic!” przy cytacie, zepsutym zapewne przez korektę (kontekst wskazuje na jego właściwe rozumienie przez autora). Chyba lepiej też byłoby pominąć raczej mętny artykuł W. Horzycy *Rodowód Norwida*, dając w zamian wśród „biesiad” rozdział z jego *Dziejów Konrada*, należący do najlepszych dokonań norwidologii końca lat dwudziestych.

Szeroko rozumiane *Spory wydawnicze* to zagadnienie w dwudziestolecu bodaj centralne, a ogłoszenie ich pełnej dokumentacji zajęłoby zapewne tom równy omawianej antologii. Niewiele z tego można pokazać na dwudziestu stronicach, mimo to uderza ograniczenie kwestii w zasadzie do wydania Piniego, z dorzuceniem paru wyrzekań na opieszałość Miriama i paru „apologii” Norwida (Cywiński, Morstin) bądź Miriama (Koczorowski). Przedstawione teksty obrazują jednak raczej spory interpretacyjny o Norwida, w części zaś istotnie „wydawniczej” rażą gołostownością (Kisielewski) lub powierzchownością; naprawdę rozprawiano o tych sprawach i bardziej rzeczowo, i nie mniej emocjonalnie. Poza polem widzenia pozostały pasjonujące dyskusje wokół kwestii rozumienia poszczególnych tekstów czy właściwości twórczości Norwida (co powinno się znaleźć w innych działach tej części), a przede wszystkim teksty wnoszące wiele w rozwój naszej świadomości tekstologicznej, edytorskiej i nawet prawniczej. Nie został wreszcie zupełnie dopuszczony do głosu główny oskarżony – Przesmycki. Czyżby cały czas milczał,

---

<sup>7</sup> J. S i e n k i e w i c z. *Norwid malarz*. W: *Pamięci C. Norwida*. Muzeum Narodowe w Warszawie. Kielce 1946 s. 61-77.

nawet na sali sądowej? Otrzymaliśmy w rezultacie prezentację zasad wydania Piniego i jego kilkakrotną charakterystykę, mamy krytykę metod Miriama, nie ma natomiast ani zdania Miriama, które by prezentowało jego metodę, argumentację i motywy „opieszności” (co gorsze, nie było ich także w części młodopolskiej antologii). Może nie byłoby bez pożytku zamieszczenie – obok fragmentów wstępu Piniego – któregoś z lapidarnych wstępów Przesmyckiego do *Ineditów* lub poszczególnych działów *Wszystkich pism...* Norwida (1937-1939), aby dać czytelnikowi możliwość konfrontacji postaw krytyka „zbrojnego naukową metodą” (jak skromnie określał się Pini) i osławionego „bezkrytycznego wielbiciela”. Jeśli zważymy, że poza wyborem pozostały również bodaj najciekawsze w sporze głosy krytyków młodego pokolenia, przełamujące uprzedzenia tej generacji wobec Miriama, musimy dojść do wniosku, że górę w antologii nad „sporami” wzięły „sprzeczeki”.

W części czwartej mamy interesujący zestaw fragmentów w dziale *Wojna i jej pokłosie*, dalej zaś, w czterech grupach, recepcję powojenną.

Zbiorem tekstów bez jakiegoś wyraźnego oblicza jest dział *Spory ideowe i perypetie wydawnicze*. Mamy tu fragmenty sporu Ważyk – Wyka wokół niebezpieczeństwa „norwidyzmu”, utarczki Błońskiego z Gomulickim o tempo prac wydawniczych, szereg wynurzeń edytorskich tego ostatniego i parę recenzji jego kolejnych edycji. Trudno zgadnąć, jak i po co trafiły tu falsyfikaty listów Chopina, ciekawym natomiast w swej kuriozalności dokumentem jest odezwa Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie (s. 300-301). Przyjmując uproszczony, a po części i zafalszowany obraz rzeczywistej sytuacji w zakresie praw autorskich, ożywiając przedwojenne fobie wobec Miriama, zapowiada ona zwrócenie się „do władz” o zadekretowanie... bezprawia, a wszystko to w imię „przywrócenia praw autorskich społeczeństwu polskiemu”. Do poziomu odezwy dostroił się tutaj – niestety – i komentarz wydawcy.

Obszerna część *W oczach poetów* zawiera różnorodne wprawdzie i przynależne kilku pokoleniom poetyckim głosy o Norwidzie, o rozmaitej jednak jakości. Wyróżniają się tu wypowiedzi twórców dojrzałych: Jastruna, Miłosza, a także – mimo ich arbitralności – Przybosia. Natomiast wiele nieporozumień, niezależnie od wyraźnych oznak fascynacji Norwidem, znaleźć można w opiniach przedstawicieli młodszych generacji, głosach wyrażających tendencję przewartościowania tradycji Norwidowskiej, „bunt”, który jednak się nie „ustatecznia” wystarczająco pogłębioną lekturą. Niezbyt też tutaj pasuje szkic Jana Zygmunta Jakubowskiego, tropiącego faktyczne i domniemane, nieraz chyba powierzchowne, związki nowej poezji z Norwidem.

Wyraźnie chyba mylący jest tytuł następnej grupy tekstów: *Analizy liryczne*, który, choć przecie znalazłoby się w norwidologii paręnaście przynajmniej przykładów udanych rozbiórów liryki poety, daje w istocie trzy wartościowe próby syntetycznego ujęcia istoty sztuki poetyckiej Norwida (Borowego, Giergielewicza i Błońskiego); pozostałe teksty bardziej by chyba pasowały do skromniutkiego działu następnego (*Poeta ideowej aktualności*), zamykającego omawianą część antologii. Część najobszerniejszą i najbardziej zapewne kontrowersyjną. W niej właśnie, jak się zdaje, najwyraźniej uwidoczniły się mankamenty błędnych założeń antologisty. W rezultacie

starczyło miejsca na rozległy szkic Jakubowskiego, nie mniej rozległą i niezbyt budującą polemikę Błoński – Gomulicki, na związane raczej z zewnętrznymi wobec dzieła okolicznościami wywiady i recenzje, zupełnie zaś nie stało go dla nie zawsze obszerniejszych, a dla rozumienia Norwida fundamentalnych studiów Stefanowskiej, Sławińskiej, Sawickiego, Głowińskiego czy innych badaczy, i nie wystarczy tutaj (gdy oceniamy w a r t o ś ć antologii) uspokajająca uwaga ze wstępu, że „nie można [...] lekceważyć dorobku [...] norwidologów o wyłącznie historycznoliterackiej orientacji” (s. 32).

Zamyka wybór część grupująca przykłady zagranicznej recepcji Norwida lub jej omówienia, niezbyt fortunnie zatytułowana *Tłumaczenia*. W tej dziedzinie istotnie zakres świadectw, spośród których można wybierać, jest bardzo ograniczony. Niemniej jednak nie należało chyba rezygnować z przedruku pełnych wypowiedzi Dehmela, Gide'a i Bergsona<sup>8</sup>, podobnie jak ze wstępu Cazina do wyboru prozy Norwida, który – wbrew wydawcy – nie jest tylko „informacyjnym wstępem do noweli *Stygmat*” (s. 28), ale należy też do najpiękniejszych wypowiedzi o Norwidzie, jakie się wśród cudzoziemców pojawiły.

Wartość i przydatność wyboru, oceniana z perspektywy użytkownika antologii, wyraża się nie tylko w tym, co wybrano, ale także w tym, jakie zastosowano kryteria porządkujące w postaci podziału tekstów na grupy, praktyki tytułowania grup i poszczególnych tekstów, przejrzystości kompozycji.

Wydaje się, że w przeciwieństwie do panującej zazwyczaj w edycjach źródłowych monotonii kompozycyjnej, tutaj przedobrzono z różnorodnością, a ponieważ nie zawsze trafnie odczytano problemowe dominanty poszczególnych okresów recepcji, nie zawsze zadbano o wyraźną rozłączność każdej z czternastu podstawowych grup tekstów i uwydatnienie tej ich osobności adekwatnym tytułem – podziały się zacierają, zachodzą na siebie, mogą dezorientować. I tak – dla przykładu – za „poetę ideowej aktualności” bywał Norwid uważany przez każdą prawie generację naszego wieku, stale towarzyszyły jego losom „perypetie wydawnicze”, do dziś pojawiają się „odkrywcy” i „apologeci”, itd., itd.

Dezorientująca jest też praktyka wydawcy w zakresie tytułowania poszczególnych tekstów. Jakkolwiek w odniesieniu do niektórych przytoczonych ułomków trudno było uniknąć nadawania „tytułów od wydawcy”, to jednak fakt, że objęto tą praktyką około trzech czwartych wszystkich tekstów, także drogą eliminacji tytułów autentycznych, wzbudza wątpliwości. Tym większe, że nie zawsze propozycje wydawcy wydają się szczęśliwe. Mniejsza już o to, że wydawca w trosce o atrakcyjność tytułów zbyt często czasem folguje wyobraźni i metaforze; spotykamy więc takie sekwencje, jak *Piętnowanie niewdzięcznika*, *Bunt niewdzięcznika*, *Litość i potępienie*, *Pożegnanie z niewdzięcznikiem*, obok *Tragizmu nieporozumienia* i *Tragizmu wybujałej ambicji* natrafiamy na *Dramat niespełnionego artysty* i *Tragicznego samotnika*. Choć można by je uważać za zbyt patetyczne, nadają one przecież wyborowi pewną swoi-

<sup>8</sup> Opublikowanych w tekstach oryginalnych i w tłumaczeniach przez Antoniego Zaleskiego [J. W. Gomulickiego] w „Poezji” 7:1971 nr 9 s. 18-22 (*Trzy głosy o Norwidzie*).

stą dramaturgię. Gorzej jednak, gdy tytuły od wydawcy pojawiają się w sytuacjach niekoniecznych, zastępując autorskie (niełatwo zrozumieć, dlaczego *Wspomnienie Czechowicza* to *Bolesny dom ostatnich chwil*), a gorzej jeszcze, gdy niezbyt pasują zarówno do zawartości tekstów, jak i do intencji ich autorów. Trudno doszukać się związku lekceważącego przypisu Nehringa z *Liryzmem zagadkowych myśli* (s. 116), fragmentu wstępu Piniego (usilnie dowodzącego braku liryzmu u Norwida) z tytułem... *Racjonalizm liryzmu*, itp. Zupełnie już trudno ustalić, dlaczego fragment książki Z. Łapińskiego, zaczynający się od zdania, iż „[...] przyczyny, które wyobcowwały [Norwida – M. B.] ze w s p ó ł c z e s n o ś c i ó w c z e s n e j, przywracają go w s p ó ł c z e s n o ś c i n a s z e j”, nosi tytuł *Norwid w naszej o b e c n o ś c i* (s. 428; podkr. moje – M. B.).

#### „KOMA I JOTA”

Sposób ustalenia, podania i opracowania tekstu jest w każdym wyborze sprawą pierwszorzędnej wagi, a dla czytelnika mniej przygotowanego, przygodnego, który ma przy tym zwyczaj pomijania przypisów bądź wstępów, staje się głównym czy bodaj jedynym wyraźnym kontekstem percepcyjnym i interpretacyjnym.

Mimo że nad edytorską poprawnością tekstów trudziły się (poza antologistą i zespołem redaktorskim) aż trzy korektorki, rezultat okazał się raczej mierny. Spotykane w książce usterki druku liczyć bowiem można na tuziny, co sprawia, iż zamieszczona w książce errata, składająca się z... pięciu pozycji – wygląda humorystycznie. Pozostawione zaś błędy włożą wszędzie – deformując daty, dane liczbowe, nazwiska (parę przekreżeń w samym spisie treści!), przede wszystkim zaś psując teksty krytyków i – co najbardziej dokuczliwe – samego Norwida.

Poza błędami korekty w książce pojawia się szereg niedoskonałości, które zdają się wynikać z niedbałej redakcji tekstów, z przeoczeń, że zbyt swobodnego traktowania źródeł przedruków.

Najwięcej szkody przynoszą niewątpliwie deformacje samych, licznych w antologii, przytoczeń tekstów Norwida. Choć nie ma edycji bezbłędnych, rozsądną chyba rzeczą byłoby przyjąć wspólne źródło wszystkich przytoczeń, zapewne *Pisma wszystkie* Norwida w opracowaniu Gomulickiego, pozostawiając ewentualnie charakterystyczne dla danego autora parafrazy, cytaty z pamięci itp. (i odnotowując to w przypisie). Tym sposobem dałoby się uniknąć utrwalenia we współczesnej edycji licznych błędów wydań dawniejszych, a także błędów spowodowanych przeoczeniami autorów tekstów lub poprzednich wydawców. Ich pozostawienie – zwłaszcza bez słowa komentara – nie da się usprawiedliwić żadnym pietyzmem wobec oryginałów, zwłaszcza że w innych aspektach opracowania takiego pietyzmu nie dostrzegamy.

Można zrozumieć dawniejszych zwłaszcza krytyków, którzy cytowali raczej według łatwo dostępnego wydania Piniego czy którejś z popularnych antologii niż według rzadkich wydań Przesmyckiego. Czy jednak stosowne byłoby uważać, że np. Wende, ogłaszając w 1978 r. w „Literaturze” swe wspomnienia o Broniewskim cytował wydanie Piniego dlatego, że uważał je za lepsze od wydań współczesnych?

Zastanawiające przy tym, że drukująca w tym samym roku te teksty redakcja popularnej książki wspomnień o Broniewskim (*Ja – Dąb*) uznała za nieodzwonne dać poprawne teksty przytoczeń z Norwida, a nie dostrzegł tego problemu wydawca wyboru „źródeł”. I tak działwa szkolna będzie powtarzać, za antologią, że u Norwida „gest koniecznym bytu cieniem”, że „I już ni miejsca ni godzin / Dla nieoczekanych powić i narodzin” (s. 209, 211).

Zapewne te śmiałe formuły mają szansę wejść pomiędzy wspomniane we wstępie (s. 29) „skrzydlate słowa” Norwida, cóż dopiero powiedzieć o męskim, chropawym tonie sprozaizowanego napomnienia: „ponieważ gadasz ostro – nie przygotowałaś / publiczności do takiego języka...” (s. 473), jako żywo potwierdzającego tezę Brzękowskiego, że Norwid to poeta antywatorów. Przykład ostatni to rezultat (niestety, nie jedyne) dziwnego wynalazku tłumaczki rozprawy Gömöriego (s. 468-480), która spokojnie przekłada teksty Norwida z... angielskiego przekładu, zaopatrując zresztą owoc własnej inwencji (za Gömörim) odsyłaczem do *Dzieł zebranych* Norwida w edycji Gomulickiego.

Nie mniejsze rewelacje napotykamy w sferze struktury poetyckiej utworów: a to okazuje się, że *Moja piosnka* [III] wcale nie jest utworem sylabicznym (s. 190), a to, że istnieje parę wierszy o tytule *Język-ojczysty*: ten na s. 211 ma wersów 9, ten na s. 432 – jedenaście i okazuje się wierszem „współczesnym”, częściowo rymowanym. Na s. 305 antologia z pietyzmem odtwarza misterną strukturę wiersza Białoszewskiego, w wymienionych wypadkach, podobnie jak na stronach 375, 376-377, 210-211, nieznośnie łamie wersy Norwida, choć miejsca na stronie na dokończenie każdej linii dość. A przyczyna? Co w prasowym artykule nie zmieściło się na wąskiej kolumnie gazety, zepchnięto niżej, wydawca zaś niniejszej książki to „uszanował”!

Wydając teksty powstałe na przestrzeni półtora wieku edytor nie mógł uniknąć ich ujednoczenia i modernizacji, jednak, jak widać już na podstawie wrywkowych sprawdzeń, nie zawsze ograniczył ingerencje do „ujednoczenia ortografii i interpunkcji” (s. 33). Tak np. tekst listu Zaleskiego do Norwida (s. 54-55) ma postać odmienną zarówno od pierwodruku Krechowickiego, jak i od przyjętego za podstawę przedruku tekstu z *Pism wszystkich*, nie ma przy tym powodów sądzić, że zmiany idą we właściwym kierunku. Innym razem, choć starano się o wierność tekstów, wkradają się błędy korekty, które np. w artykule Giergielewicza aż trzykrotnie zepsuły sens (s. 411 w. 26; s. 414 w. 28; s. 415 w. 34).

O jakości tłumaczeń trudno się tutaj wypowiadać, nierzadko jednak ma się wrażenie, że tekst polski nie jest wystarczająco dopracowany. Najwyraźniej widać to we wspomnianym już tłumaczeniu artykułu Gömöriego. Pobieżne nawet porównanie tłumaczenia z angielskim oryginałem przekonuje ponadto, że – jak powiedziałyby Norwid – „to nie jest żadne dobre tłumaczenie”.

Zastanówmy się teraz, jak przedstawia się edytorska „oprawa” tekstów, sposób ich podania czytelnikowi.

Za rzeczą najbardziej może dokuczliwą uznać trzeba rezygnację edytora z zaznaczania opuszczeń na początku i końcu tekstu. Przy braku innych sposobów wskazania, czy mamy do czynienia z całością, czy z fragmentem – wartość antologii jako

źródła bardzo się obniża. Ale obniża się także czytelnicza zdolność pełniejszego odbioru danego czytanego tekstu. To przecież nie bez znaczenia, że artykuł Gömöriego (s. 464-468) ma, poza przedrukowanymi, opuszczone części 3 i 4, że z kolei we wspomnianym posłowie Giergielewicza (s. 409-416) opuszczono dwie pierwsze części, a przedrukowano pozostałe, dodatkowo opuszczając numerację. Opuszczenia wewnątrz tekstów są oznaczane, nie bez wyjątków jednak.

Wymienionym mankamentom starają się zaradzić wprowadzone przez edytora streszczenia i omówienia ważniejszych opuszczeń. Sam pomysł wydaje się – w obliczu daleko posuniętej edytorskiej „fragmentaryzacji” – trafny, jednak streszczenia takie nie zawsze są rzeczą łatwą, o czym przekonują także niektóre z przedstawionych propozycji. Wyraźnie np. niezadowolające, a przy tym niezbyt trafne, jest omówienie poprzedzające króciutki fragment oceny przez Borowego edycji Piniego (s. 283).

Przyjrzyjmy się fragmentowi recenzji przypisywanej Wacławowi Szymanowskiemu:

Powiedzieliśmy, że niektóre szczegóły bardzo są piękne, co i w wyżej przytoczonych wyjątkach można było dostrzec. Najlepiej jednak może tego dowieść jeden ze wspomnianych przez nas listów, który w całości przytaczamy. [*Tu następuje fragment poematu „Szczesna”.*]

Prześliczny to obraz i sam jeden już dowodzi o wielkim talencie poety [...] (s. 113).

Co to nawiasowe wtrącenie wydawcy wyjaśnia? Jest ono przy tym jedyną edytorską ingerencją w tekst, innych opuszczeń nie oznaczono, darmo jednak byłoby szukać w przedruku „wyżej przytoczonych wyjątków”. A przecież może w tej jednej z niewielu wtedy korzystnych opinii o Norwidzie najciekawsze jest to, **k t ó r e** „wyjątki” zostały uznane za „piękne”, który „list” – za „prześliczny obraz”. Pocieszać się tylko można, że – aby się tego dowiedzieć – wystarczy zajrzeć do numeru 219 „Gazety Codziennej” z 1859 r.

Nie wszystkie więc skróty wydają się możliwe i uprawnione. Tak jest też zapewne z poetyckim *Wspomnieniem* Czechowicza (s. 213-215): streszczenie pierwszej części tryptyku ma nieuniknione wady wszelkiego omówienia tekstu poetyckiego, opuszczenie trzeciej – pozbawia całość ramy kompozycyjnej.

Przyjrzenie się sposobowi opracowania tekstu Czechowicza zwraca naszą uwagę na kolejny element pracy redakcyjnej, a mianowicie na noty bio- i bibliograficzne. Można się cieszyć, że nota informuje, iż Czechowicz to „twórca liryki nastrojowej i wizyjno-symbolicznej, przepojonej elementami katastrofizmu”, „związany z lubelskim środowiskiem kulturalnym”. Gorzej, że w tej samej nocie podano jako pierwodruk tekst, będący już bodaj trzecim przedrukiem, że zniekształcono oryginalny tytuł, zastępując go zresztą w nagłówku tytułem od wydawcy. Drukując fragment dobrze byłoby też poinformować, że całość łatwo można znaleźć w przedruku Jana Witana („Poezja” 1970 nr 1; tu też dane bibliograficzne).

Nie stanowią więc noty, zwłaszcza w swej części bibliograficznej, silnej strony wyboru. Zakwestionować by wprawdzie trzeba samą zasadę (niestety rozpowszechnioną w wydawnictwach tego typu) podawania tylko „danych o autorach nieżyjących” (s. 33), na rzecz założenia, iż dane takie powinny być wszędzie tam, gdzie są



czytelnikowi potrzebne, a więc przede wszystkim dotyczyć powinny autorów nieznanymi szerszej publiczności, w tym zapewne wszystkich zagranicznych. Wymóg taki, podobnie jak wymóg wymienienia przynajmniej ważniejszych przedruków tekstów, poprawiłby zapewne jakość informacyjną antologii, a praca nad jego spełnieniem pozwoliłaby samemu antologię lepiej poznać przedrukowywanych autorów i ich dorobek, eliminując niepotrzebne potknięcia. Jednak nawet w ramach przyjętego kryterium rzecz nie jest przeprowadzona konsekwentnie. A to zagubią się gdzieś daty urodzenia i śmierci (Sternschuss, Balicki, Rosen, Zdziechowska), a to całe notki (Gabert, Grzybowska, Miller, Podoski).

Za pożyteczną natomiast tendencję należy uznać próby wskazania związków danego autora z Norwidem, próby nie zawsze jednak udane. Zupełnie nie oddaje wyjątkowego udziału w norwidologii Romana Zrębowicza określenie „wydawca Norwida”, w nocie Arcimowicza przeczytać z kolei możemy, że był „wydawcą *Assunty*” i autorem pracy o poecie. Mniejsza o to, że *Assuntę* wydał dwadzieścia parę lat wcześniej Kallenbach, a Arcimowicz napisał o niej rozprawę, że wymienienie tylko tytułu innej książki Arcimowicza nic nie mówi o jej znaczeniu, rozmiarach, nawet o tym, czy w ogóle wyszła drukiem. Jednak taka zdawkowa prezentacja, w połączeniu z nie mniej skromną notką o Cywińskim i pominięciem Falkowskiego, czyni, iż zaciera się swoisty wileński fenomen fascynacji Norwidem w tamtym czasie. A przecież dorobek już trzech wymienionych autorów to kilka książek i zapewne ponad sto artykułów o poecie, choć dodać by tu można także norwidowską aktywność Janiny Budkowskiej, Wandy Nowodworskiej (Achremowiczowej), paru publicystów, poniekąd Pignonia i Kridla.

Rezygnacja z odnotowywania przedruków zamieszczonych w antologii tekstów zaowocowała w paru przypadkach dezinformacją. Tak np. antologista, ogłasza z rękopisów dwa listy Antoniego Zaleskiego do Kraszewskiego (s. 108-110), podając w przypisach, że ich fragmenty opublikował Gomulicki w *Pismach wybranych Norwida* (1968) i pozostawiając czytelnika w nieświadomości, że sam daje też fragmenty, że pierwszy z nich był już ogłoszony w 1934 r.<sup>9</sup>, a oba listy (i to – jak można sądzić – w całości) podał Gomulicki w obu zbiorowych edycjach poety (1966, 1971-1976). Podobnie mylnie podano jako miejsce pierwodruku fragmentów listu Krasieńskiego do Norwida (s. 42) książkę Kossowskiego z 1916 r., choć zamieszczona tam rozprawa była (w wersji szczuplejszej) drukowana – i to aż trzykrotnie – cztery lata wcześniej. Przeoczenie to dziwi tym bardziej, że na s. 471 antologii znajdziemy odsyłacz (związany z tym samym listem) do jednej z tych wcześniejszych publikacji. Nie od rzeczy byłoby też zaznaczyć, że opinię J. B. Zaleskiego o pierwszej wersji *Wandy* mogli poznać już młodopolscy miłośnicy obu poetów, nie zaś dopiero czytelnicy *Pism wszystkich*, wskazanych jako miejsce pierwodruku (s. 92).

Ostatni wreszcie z najbardziej podstawowych elementów opracowania tekstów to kwestia przypisania ich właściwym autorom, rozwiązana w antologii na ogół trafnie. Na ogół – bo i w tym zakresie natrafiamy na nieporozumienia.

---

<sup>9</sup> T. P r z y p k o w s k i. *Testament literacki Cypriana Norwida z 1858 roku*. Wydał i objaśnił dr [...]. Kraków 1935 s. 7-8 przypis 4.

Niewątpliwie mylnie jest podanie jako autora artykułu *Oryginalność Norwida* – Jarosława Jaworskiego. To chyba rezultat „przepisania się”, jakkolwiek nazwisko „Jaworski” używane jest wszędzie (w nagłówku, w spisie treści, indeksie, nawet we wstępie) konsekwentnie. Chodzi oczywiście o Jarosława Janowskiego, znanego także z paru innych wypowiedzi o Norwidzie (właściwe jego nazwisko pojawia się w antologii, ale – paradoksalnie – w podtytule publikacji Koczorowskiego, s. 280, stąd w indeksie mamy obu: Janowskiego i Jaworskiego!).

Przypisując (jeszcze bodaj za Przesmyckim) opinię ze s. 87 Marcelemu Mottemu, należało chyba odnotować, że inni norwidolodzy za autora uważają Ludwika Żychlińskiego<sup>10</sup> i – ewentualnie – własny pogląd uzasadnić. Pożytecznie też byłoby zaznaczyć, że w odniesieniu do kilku przedrukowanych jako anonimowe nekrologów i recenzji pojawiły się wcześniej domniemania norwidologów co do ich autorstwa (np. tekstów na stronach: 60-62, 62, 66-67, 69-70, 71-72, 74, 95-96, 98-99). Z kolei anonimowy okupacyjny tekst ze stron 285-286 jest bez wątpienia fragmentem wstępu Czesława Miłosza do jego (wydanej pod pseudonimem Ks. J. Robaka) antologii „poezji polskiej czasu wojny” *Pieśń niepodległa* (Warszawa [1942]; przedruk wstępu: „Tygodnik Powszechny” 1980 nr 50 s. 5).

Należy przyznać, że niektóre braki informacyjne łągodzi *Indeks osób*<sup>11</sup>, wskazując np. relacje rodzinne, charakteryzując niektóre z osób, rozszyfrowując pseudonimy. W tej ostatniej kwestii przydałoby się więcej konsekwencji (literackie nazwiska Prusa, Leśmiana czy Nerval nie mniej się przecież utrwaliły niż Jellenty i Stura) i dociekliwości, która pozwoliłaby może na hipotezę, że Malewski, Malfait, Malfart i Malczart to prawdopodobnie jedna i ta sama osoba<sup>12</sup>. Przyjrzenie się dorobkowi tej osoby skłoniłoby zaś może antologistę do wybrania raczej ważnego artykułu Malczarta (*Cypriana Norwida poglądy na sztukę narodową*. „Tygodnik Słowa Polskiego” 1902 nr 6-9), który zapoczątkował długoletnią fascynację pisarzy i krytyków *Promethidionem*, niż okolicznościowego wykładu Malewskiego.

Zauważmy wreszcie, że pomyłki czytelnika, nawet „fachowca”, w kwestii autorstwa mogą być spowodowane tak zdawałoby się zewnętrzną okolicznością, jak praktyka ujmowania niektórych nazwisk autorów w nawias kwadratowy (niezbyt w antologii konsekwentna) bądź samo miejsce tytułu na stronie. Przygoda recenzenta „Poezji”, który – nie zajrzawszy do noty i do spisu treści – przypisał anonimowy artykuł z „Tygodnika Ilustrowanego” autorce wypowiedzi poprzedniej (s. 195), pokazuje, że tytuły wypowiedzi anonimowych powinny być drukowane bezpośrednio

---

<sup>10</sup> Zob. Z. T r o j a n o w i c z. *Rzecz o młodości Norwida*. Poznań 1968 s. 219 przypis 14, oraz aparat krytyczny J. W. Gomulickiego do Norwida *Pism wszystkich* (t. 7 s. 464; t. 11 s. 164 przypis 178).

<sup>11</sup> W wydawnictwie tak – z natury – nasyconym odwołaniami i komentarzami do Norwida i jego tekstów niezmiernie pożyteczny byłby ponadto indeks utworów poety.

<sup>12</sup> Pseudonim Malczarta przypisuje Zygmuntovi Malewskiemu poświęcone mu hasło w *Polskim słowniku biograficznym*. Pogląd ten podziela też J. W. Gomulicki (zob. „Poezja” 1984 nr 6/7 s. 77, przypis 23).

od lewego marginesu, odróżniając w ten sposób te teksty od sekwencji wypowiedzi tej samej osoby (np. Krasińskiego na s. 40-42).

„ZAWIŁY ZYGZAK KOMENTARZA”

Wszelkie rozważania o tym, jakie to przypisy byłyby jeszcze potrzebne, są zawsze ryzykowne, a ilość żądań mogłaby nie mieć granicy. Dotyczy to zwłaszcza tych komentarzy, które nie tylko informują, ale także interpretują tekst czy wskazują jego powiązania z szerszym uniwersum. Jeśli jednak w edytorskim komentarzu da się zauważyć obecność przypisów niekoniecznych, redundantnych czy nawet wyraźnie zbędnych, postawienie kwestii kanonu przypisów koniecznych czy choćby tylko pożądanych staje się zasadne, nie idzie tu bowiem o rozszerzenie komentarza (w omawianej edycji już bardzo obszernego), lecz o jego optymalną zawartość i strukturę.

Zacznijmy od tych przypadków, gdzie przypisy (lub nawet całe ich kategorie) wydają się niepotrzebne.

Bez wątpienia ambitne i godne uznania jest założenie lokalizowania wszelkich pojawiających się w przedrukowywanych tekstach cytatów. Nie zostało ono sformułowane, ale ambicja taka jest widoczna (już choćby w odnotowywaniu, że niektóre cytaty są „niezidentyfikowane”), jakkolwiek w praktyce nie w pełni konsekwentnie została zrealizowana. Potrzebny tu jednak byłby zdrowy rozsądek. Oczywiście wydaje się, że wskazać źródło trzeba wszędzie tam, gdzie tekst zasadniczy nie daje wyraźnej lub zgoła żadnej wskazówki, gdzie przed mniej przygotowanym czytelnikiem staje istotna, czasem nieprzewyciężona trudność powiązania przytoczenia czy aluzji z właściwym dziełem lub choćby osobą autora. Można natomiast śmiało zrezygnować z odrywania czytelnika od lektury, kiedy krytyk cytujący dany tekst wymienia autora i tytuł bądź incipit utworu lub kiedy dane te wyraźnie z kontekstu przytoczenia wynikają, zwłaszcza gdy rzecz dotyczy utworu krótkiego, nie sprawiającego trudności ze zlokalizowaniem przywoływanego fragmentu. Wydaje się nawet, że niektóre teksty krytyczne, o bardziej eseistycznym charakterze, wyraźnie sobie takiego potraktowania życzą, zaś ich autorzy uważali zapewne, że dali informację wystarczającą. Tak jest niewątpliwie w znanym szkicu Borowego *Norwid poeta*, wyraźnie zamierzonym, przy całej doniosłości jego konstatacji, jako tekst w swej popularności samowystarczalny, nie wymagający dodatkowych wskazówek dla czytelnika. Ze względu na założenia antologii można było uznać za pożądane objaśnienie przywoływanych przez Borowego nazwisk obcych twórców (choć nie jest to przeprowadzone konsekwentnie i można by pytać, dlaczego zasłużył sobie na przypis nieźle u nas znany Maeterlinck, a zabrakło go dla nie znanego szerzej Carlyle’a). Nie wzbudza też wątpiwości próba ustalenia autorów przywoływanych przez Borowego anonimowo poglądów i formuł (czasem dla uniknięcia akcentów bezpośrednio polemicznych, częściej dla wskazania, że nie tyle krytyk, co jego typowy dla szerszej grupy pogląd jest dla tych uogólniających rozważań istotny). Podobnie z nielicznymi fragmentarycznymi

cytatami, choć większość z nich to te wyrażenia Norwida, które prawie „wesły między zwroty mowy potocznej” (s. 400-401).

W większości jednak przypadków Borowy bardzo dba o to, żeby nawet w tym unikającym przypisów artykule źródła przytoczeń były wyraźnie wskazane. Konsekwentnie wplata w wywód tytuły przywoływanych utworów. Jeśli więc – w takich przypadkach – podanie dokładnej numeracji cytowanych wersów ma jeszcze jakiś sens w odniesieniu do obszerniejszych utworów (np. *Salem, Assunta*), to przypisy takie jak: „179. Por. C. Norwid, *Socjalizm*. w. 12”; „188. C. Norwid, *Pismo*, w. 1-3”; „189. C. Norwid, *Czy podam się o amnestię?*” – zwłaszcza gdy nie odsyłają do określonej edycji (a nawet, jak w ostatnim przypadku, nie podają pozycji cytowanego dwuwiersza w utworze), wydają się zupełnie niecelowe i raczej przeszkadzają w lekturze. Nawiasem mówiąc, nietrudno spostrzec, że Borowy, podając datę powstania utworu (s. 402), dał więcej niż „objaśniający” jego tekst przypis.

Nawet jednak gdy tytuł utworu nie jest w tekście wymieniony, wątpić można, czy w niektórych wypadkach jego podanie jest tak bardzo konieczne. Weźmy zdanie Borowego: „O pewnych jego wierszach – takich jak «Czemu, Cieniu, odjeżdżasz», «Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba...», «Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica»<sup>176</sup> – można powiedzieć, że są dziś bez mała tak znane, jak najbardziej znane wiersze Mickiewicza” (s. 400). Przypis 176 stwierdza (myląc zresztą kolejność): „Mowa kolejno o utworach: *Bema pamięci żałobny rapsod*, *Pieśń od ziemi naszej* i *Moja piosnka* [II]” (s. 544). Zapytać by można, dlaczego Borowy, który zresztą w artykule parę wierszy wcześniej wymienia te tytuły, w przytaczanym fragmencie daje incipity. Może chce uwydatnić raczej te wiersze-wersy niż odesłać do całych wierszy-utworów? A może jest przeświadczony, że w tych przynajmniej wypadkach pierwsze słowa utworu łatwiej zostaną podchwyczone przez czytelnika, lepiej są znane i lepiej odsyłają do całości niż tytuły? Nawet więc tutaj zrezygnowanie z przypisu można by uzasadnić, byłoby przy tym formą zaufania dla poglądu eseisty, że idzie o dzieła (frazy poetyckie) już w 1946 r. najpowszechniej znane.

Zatrzymaliśmy się nad rozprawką Borowego, bowiem sposób jej opracowania odsyła do bardziej generalnych prawidłowości występujących w antologii. Starczyło w niej miejsca na dwie gęsto bite strony nie zawsze potrzebnych i nie zawsze udanych przypisów do eseju, zabrakło go zaś na wydrukowanie tego arcydzieła zwartej kompozycji w całości. Mniejsza o opustkę wewnątrz tekstu, przynajmniej zaznaczoną, jakie jednak wyższe racje kazały wydawcy urwać kilka dosłownie linii zakończenia? Tak więc nawet uważany za mistrza cytatu i krytycznej pointy Borowy nie zasłużył sobie na względy – wydawca wie oczywiście lepiej, gdzie trzeba wywód zakończyć.

Informacji i wyjaśnień, które niewiele wyjaśniają, jest niestety w antologii sporo. Jaskrawym przykładem jest np. opatrzenie przypisu dwuwersu wprowadzonego przez Jastruna zdaniem: „[...] czytałem wówczas wiersz Norwida zatytułowany *Z listu*, zaczynający się pięknym zakosem zdania: [...]”. Przypis: „159. C. Norwid, *Z listu*, w. 1-2” (s. 396 i 543), świadczy o zupełnym braku zaufania do elementarnej choćby pojomości czytelnika. Ale przecież nawet wtedy, gdy Morzkowska, omawiając *Cywilizację*, cytuje zdanie Norwida i pisze: „Są to ostatnie słowa fragmentu”, czyż koniecznie trzeba pisać: „277. C. Norwid, *Cywilizacja*, VI (zakończenie)”, wpro-

wadzając dodatkowo czytelnika w rozterkę, czy cytowane zdanie znajduje się w części VI – będącej zakończeniem, czy stanowi tę część, czy też ją zamyka (s. 135-136, 514). Z wywodu Morzkowskiej jasno przecież wynika, że używa słowa „fragment” w znaczeniu „utwór” („dziełem tym jest fragment: *Cywilizacja*” – s. 135), czy więc jej zdanie nie lokalizuje cytatu wystarczająco precyzyjnie?

Niedobór jakości informacyjnych w części przypisów jest wynagradzany czasem wprowadzeniem informacji dodatkowych. Tak jest np. w przypisie 269 na s. 514, wskazującym, o którą *Moją piosnkę* Norwida chodzi, lokalizującym wersy i precyzującym dane Morzkowskiej o dacie i miejscu pierwodruku wiersza. Czytelnik jednak chętnie by pewnie darował wydawcy brak tych uszczegółowień (podobnie jak raczej zbyteczny przypis poprzedni – 268), gdyby w zamian nie musiał być narażony na rozterki, czy opatrzone omawianym przypisem wersy „Czarnoleskiej ja rzeczy / Chcę... ta mnie uleczy” (s. 131) to jakaś inna wersja znanego powszechnie wyrażenia, rezultat śmiałej koniektury wydawcy, czy też konsekwencja zwykłego błędu Morzkowskiej lub redakcji czasopisma, tu przez pietyzm nie poprawionego, a przez delikatność nie odnotowanego.

Przypisy niepotrzebne pojawiają się czasem jako rezultat bezradności komentatora, sytuacji zresztą, wobec rozległości zadania, naturalnej i zrozumiałej. Jeśli jednak np. Kołaczkowski pisze, że Norwid tłumaczył, iż „czas, dlatego że jest czasem, nie jest wiecznością” (s. 247), to w wypadku niemożności znalezienia źródła czy warto marnować miejsce mylącym przypisem: „137. Cytat z Norwida” (s. 531). Lepiej byłoby chyba napisać, że to prawdopodobnie cytat z Norwida (a nuż czytelnik potrafi go znaleźć?), najprawdopodobniej zaś parafraza, jakoś tam streszczająca poglądy poety. Że zwyczaj takiego swobodnego parafrazowania nie był Kołaczkowskiemu obcy, świadczy już „cytat” w tekście następnym, tu trafnie odczytany jako parafraza wersów *Modlitwy*. Podobnie jeśli Morzkowska pisze, iż według Słowackiego „świat ten jest smutny”, bezpieczniej byłoby nie pisać o „niezidentyfikowanym powiedzeniu Słowackiego” (s. 514), stwierdzając po prostu, że czegoś takiego edytor u Słowackiego nie znalazł.

W niektórych przypisach, w zasadzie pożądanym, rzeczą niepotrzebną jest ich redundantność wobec tekstu zasadniczego bądź też połowiczność czy niedokładność, czyniąca przypis nieefektywnym.

Nie byłoby chyba nadużyciem dobrych obyczajów edytorskich bezpośrednio odesłanie czytelnika na właściwą stronę (strony) antologii lub do innego przypisu bez uprzedniego pieczołowitego wymieniania pełnego tytułu, czasu i miejsca druku itp. Czy np. do zdania Czachowskiego: „S. Witkiewicz, na kartach książki o *Dziwnym człowieku* oddał później pełną sprawiedliwość [...] myśli Norwida” (s. 226) nie wystarczyłaby druga część przypisu 88 (s. 529), odsyłająca na „s. 152-154 niniejszego zbioru”, gdzie znajdziemy i pełny zapis bibliograficzny (w nocie), i fragmenty książki poświadczające opinię krytyka. Podobnie nie wydaje się potrzebne powtórzenie zdania Przesmyckiego (przypis 191, s. 534), dokładnie przecież zacytowanego przez Piniego (s. 273).

Przykładem objaśnienia niezadowolającego przez swą połowiczność jest przypis 200 (s. 534), komentujący zdanie Piniego, że „nieprawdopodobnie niska cena [jego

edycji – M. B.] wyklucza podejrzenia o spekulację” (s. 277), informacją: „Tom o objętości XLVIII + 648 str. kosztował w zwykłej oprawie 8 zł i 80 gr.” Co ten przypis wyjaśnia współczesnemu czytelnikowi? Powtarza to, co w recenzji Cywińskiego, drukowanej notabene na tej samej stronie (s. 277 i n.), powiedziane zostało szerzej i precyzyjniej. Cywiński potwierdza pogląd o taniości edycji, ale jego czytelnik w 1934 r. posiada kontekst, pozwalający mu służyć poglądu zweryfikować. Współczesny czytelnik potrzebowałby przynajmniej – jeśli już komentator rzecz podejmuje – jakiejś informacji porównawczej, najlepiej dotyczącej cen wydań Przesmyckiego (np. takiej, że wydany w końcu 1932 r. dwukrotnie szczuplejszy wybór Miriama kosztował paręnaście złotych, zaś cztery tomy *Pism zebranych* nawet ponad sto złotych). Ponadto – ograniczenie się w tym przypadku wyłącznie do „neutralnej” informacji cenowej może sugerować, że także w kwestii spekulacyjnej pogląd Piniego jest bezdyskusyjny. Jednak zaistniała wtedy dyskusja wcale podejrzenia o spekulację nie wykluczyła (przychylił się później do takiej sugestii także Cywiński), zaś przewód sądowy, najpoważniejszy bodaj w tej materii w naszych dziejach, po części spekulacyjny charakter wydania udowodnił, zasądzając od wydawców m.in. „pokutne” na rzecz Miriama i Mortkowiczowej.

Jak jednak w świetle powyższych uwag rysują się te przypadki, w których przypisy wydają się pożądane lub wręcz konieczne, a które w antologii nie zostały objaśnione?

Stosunkowo chyba niewiele jest takich miejsc w zakresie przypisów najbardziej podstawowych, o charakterze informacyjnym lub lokalizującym. Tutaj więcej zastrzeżeń mieć by można do samej konstrukcji i trafności przypisów niż do skali pominięć. Przypadki niekonsekwencji występują jednak i w tej sferze. Częściowo wynikają one z niezbyt szczęśliwych założeń (np. rezygnacji z przypisów do tekstów uznanych za „naukowe”), częściowo z komentatorskiego „wszystkoizmu”.

Arbitralność decyzji „ograniczenia się do przedruku przypisów autora” ze względu na to, że praca „ma charakter rozprawy naukowej” (zob. przypis 63 na s. 551) najwyraźniej uwidocznia się w przedruku fragmentu książki Gömöriego *Cyprian Norwid* (s. 468-480). Sama książka, choć jej podstawą jest praca doktorska, ma ambicje spełniania roli popularnego (w dobrym tego słowa znaczeniu) wprowadzenia czytelnika anglojęzycznego w Norwida. Czy prezentując jej rozdział Polakom powinno się rzeczywiście ograniczyć tylko do przypisów autorskich, być może zresztą świadomie w stosunku do wersji doktoratowej ograniczonych? Może byłoby rzeczą ciekawą i możliwą do ustalenia, który to z polskich „współczesnych krytyków” nazwał Norwida: „the most complex of all polish artists”, co tłumaczka, nie szukając źródła, biernie przełożyła, rozwiązując kwestię śmiałym gestem usunięcia znaków cudzośćlowu (s. 477). O tyle może nie było to trudne, że idzie prawdopodobnie o zdanie otwierające habilitacyjną książkę K. Wyki o Norwidzie – „poecie i sztukmistrzu” (1948), sam zaś pogląd był już dość powszechny w latach trzydziestych, m.in. za sprawą wcześniejszych wypowiedzi Wyki. Może też lepiej by było, gdyby czytelnik p o l s k i mógł dowiedzieć się, kim byli Emerson,

Browning czy Hopkins (nie tylko tutaj łączeni z Norwidem), jeśli już uważa się za potrzebne wyjaśnienie, kim byli Sienkiewicz, Krasiński czy Kraszewski.

Dyrektywa „wszystkoizmu”, w istocie utopijna, owocuje praktycznie tym, że w nawale informacji gubią się rzeczy ważne. Z punktu widzenia użytkownika antologii takiej jak omawiana przypis jest tym potrzebniejszy, im zawarta w nim informacja, rozszyfrowana aluzja, przeprowadzona procedura wyjaśniająca trudniej jest dostępna, bardziej odległa od typowego wyposażenia erudycyjnego i intelektualnego przeciętnego licealisty i zawartości popularnych leksykonów. Czy nie lepiej więc zrezygnować z niektórych najbardziej generalnych informacji i wyjaśnień, pilniej w zamian rejestrując mniej dostępne a możliwe do przybliżenia kwestie? Może więc lepiej zostawić systemowi edukacji społecznej trud upowszechnienia wiedzy o tym, kim były kluczowe dla polskiej i europejskiej kultury postacie z programów szkolnych, a w zamian przedstawić w miarę porządku przynajmniej wszystkich mniej znanych (niekoniecznie nieżyjących) autorów zamieszczonych artykułów i, jeśli już, mniej u nas znane lub zapomniane osoby, pojawiające się w antologii.

Skoro trudno jest w kilkunastu słowach scharakteryzować istotę filozofii Schopenhauera, nie popadając w błędne koło wyjaśniania przez terminy same wymagające wyjaśnienia („filozofia obiektywno-idealistyczna”, „pesymizm”, „eskapizm” – s. 531) i nie wystawiając się na zarzuty jej symplifikacji, może lepiej zostawić to kompendiom filozoficznym, gdzie czytelnik, gdy zajrzy, znajdzie nie tylko omówienie danego systemu, ale też w razie potrzeby wyjaśnienia obcych sobie pojęć. W zamian można by skomentować sens użytego na s. 126 wyrażenia „od nadyru do zenitu” czy rozwinąć formułę o „ateńskiej domyślności” ze strony następnej. Tym bardziej że w bezpośrednim sąsiedztwie tych wyrażen objaśniono sens słowa „kontor” (opatrując ten, jak się zdaje, błąd drukarski alarmistycznym „sic!”), choć akurat tutaj kontekst wyklucza raczej niezrozumienie: „kreślimy [...] kontor jego poetycznego profilu” (s. 126).

W miejsce z kolei lokalizacji redundantnych wobec tekstu głównego dobrze by było wskazać, skąd w artykule Błońskiego wziął się obraz człowieka, „co, parafrazując Norwida, gryzie się jak Neron i szaleje”, dlaczego w wyrażeniu „słabością, jeżeli nie podłością, byłoby «wrócić do snu»” ostatnie słowa są w cudzysłowie – w tych przypadkach bowiem skojarzenie parafraz z ich źródłami coś wnosi, zarówno w sferze interpretacji odnośnych wierszy (*Królestwo*, *Aerumnarum plenus*), jak i w zakresie rozumienia wywodu krytyka (oba przykłady ze s. 421). Podobnie rzeczą nieobojętą dla sensu zdania Malewskiego, iż „teraz dopiero twórczość nasza wzniosłszy to, co narodowe, do sfery «nadnarodowej», a ludowe «do ludzkości», staje na równi z najwznioślejszymi pomnikami literatury świata” (s. 160), byłoby wskazanie na norwidowskie źródło motywów, użytych tu do scharakteryzowania sztuki młodopolskiej.

Przechodząc do komentarzy objaśniających struktury bardziej złożone, interpretujących bądź nawet dopełniających sensy i konteksty, napotykamy domenę o większej jeszcze mglistości i płynności kryteriów. Wymienianie rzeczy, które by jeszcze można dodać, nie wydaje się lojalne i płodne, lepiej więc mówić o pewnych tendencjach czy grupach zagadnień.

W tej perspektywie za najbardziej może dla antologii uciążliwą lukę trzeba uznać pewien niedostatek wyjaśnień, które wiążą się zarówno ze zharmonizowaniem zamieszczonych artykułów i świadectw w koherentną całość (co po części jest wypełniane przez inne właściwości książki, takie jak układ, tytuły rozdziałów itp.), jak i, co o wiele ważniejsze, ze wskazaniem relacji wiążących zawartość antologii z tym rozległym universum, którego jest ona częścią i reprezentacją. Chodzi o uświadomienie czytelnikowi antologii, jak dany artykuł (czy ich grupa) wiąże się ze swoim bezpośrednim kontekstem w ramach epoki i gatunku krytycznego (ujęcie diachroniczne), jaka jest jego pozycja, stopień doniosłości, związki z wypowiedziami wcześniejszymi i rezonans w ujęciach współczesnych bądź (jeśli taki miał miejsce) późniejszych. Charakter stosunku danej wypowiedzi do twórczości Norwida (czemu poświęcono w książce sporo miejsca) odsłania się zazwyczaj mniej lub więcej w samym artykule; powiązania z innymi tekstami krytycznymi, z atmosferą epoki, jej tendencjami kulturowymi, ideologicznymi i metodologicznymi (np. wpływ mód krytycznych i analitycznych), z pozycją w tym układzie autora, nawet z miejscem druku, powiązania w znacznym stopniu dostępne ówczesnemu czytelnikowi, stają się po latach trudniejsze do zrekonstruowania na podstawie samego tekstu, czytanego już w innej perspektywie odbiorczej. Ta sfera wyjaśnień (o funkcji jakby danych współrzędnych, wyznaczających pozycję tekstu w „przestrzeni krytycznej”) jest szczególnie ważna w odniesieniu do wypowiedzi, które (rzadko jawnie) wchodzą z innymi w układy, relacje przyciągania i odpychania, polemiki, alianse itp. Zabrzmiało to może jak herezja, ale z perspektywy hierarchii celów takiej antologii „głosów i studiów” o określonym przedmiocie (twórcy) dane o samym przedmiocie mniej są ważne niż dane o uczestnikach, atmosferze i uwarunkowaniach dyskusji, bo wszak owa dyskusja jest w istocie głównym przedmiotem książki. Nawet gdyby wydawca zasadniczo nie dopuszczał komentarzy dopełniających, rozwijających konteksty, to omawianej kategorii wyjaśnień (czy w przypisach, czy w notkach) nie powinien by pominąć.

Bez wątpienia pożyteczną dla czytelnika rzeczą jest możliwość poznania szczegółów o pobycie Norwida w Rzymie (s. 499, przypis 9), zetknięcia się z Norwidową oceną sytuacji Polski w czasie powstania styczniowego (choć niekoniecznie może w związku z dwa lata wcześniejszym zapiskiem Zaleskiego – s. 501, przypis 30) czy z jego teorią „zwolenia” (jakkolwiek przytoczenie z Norwida zupełnie nie wiąże się z przypisem 81 na s. 529, do którego je doczepiono, zamiast – jak się zdaje – zamieścić je jako dalszy ciąg fantastycznych skądinąd rozważań w przypisie 183 na s. 533, opatrzonych w dodatku błędnym odsyłaczem). Ta umiejętność wykorzystania wiedzy o Norwidzie i samych jego dzieł w funkcji komentarza jest tutaj dość obficie i zazwyczaj udatnie stosowana. Zabrakło podobnej – niestety – w odniesieniu do znajomości niektórych obszarów dziejów recepcji poety i jej społecznych uwarunkowań. Nie dziw zatem, że wyraźnie daje się zauważyć omijanie pewnych kwestii lub ich niezbyt trafne rozpoznanie.

Rzutowało to już na jakość samego opracowania tekstów – rodząc pomyłki nawet w zakresie ustalenia tożsamości autorów przedrukowywanych tekstów, miejsc pierwodruków, stopnia uczestnictwa danego autora w badaniach norwidowskich.



Charakterystycznym przykładem takiego niezbyt trafnego rozpoznania może być sposób opracowania recenzji Morstina z wydania Piniego (s. 279-280). Podając jako miejsce pierwodruku broszurę *Pod znakiem Norwida*, należało chyba wskazać, że jest to odbitka specjalnego numeru „Przeglądu Artystycznego” (tygodniowego dodatku do „Czasu” z 23 września 1934 r.), będącego z b i o r o w y m wystąpieniem grupy pisarzy i krytyków przeciw edycji Piniego i jej „akuszerom” (Słonimski, Czartkowski), że wreszcie artykuł Morstina wywołał polemikę Piniego, którą Morstin ogłosił wraz ze swoim dopowiedzeniem w nrze 35 „Przeglądu Artystycznego” z 14 października. Pokazanie tej kontynuacji byłoby tym potrzebniejsze, że odpowiedzi Piniego nie kojarzą z Morstinem także redaktorzy „Nowego Korbuta”, zaś zamykająca polemikę wypowiedź Morstina nie jest tam w ogóle odnotowana. A przecież dla czytelnika antologii możliwość oceny, kto i na ile miał w sporze rację, zwłaszcza przy ułamkowości związanych ze sporem przedruków, wydaje się rzeczą niezwykle istotną.

Obok przykładów niedopowiedzeń i informacji połowicznych spotkać możemy także w przypisach sporo informacji nieprecyzyjnych, mylących czy wręcz błędnych, zwłaszcza w zakresie edytorskich losów dzieł Norwida, kwestii praw autorskich. Parę aż nieścisłości znaleźć można np. w przypisie 43 na s. 517; jaskrawym z kolei przypadkiem informacji sprzecznych jest błędne przypisanie autorstwa wstępu do listów Norwida do Trębickiej (wydanych w sławnym tomie 8 „Chimery”) Przesmykiem, choć gdzie indziej komentator trafnie informuje, iż wydawcą tych listów był Stanisław Kossowski (zob. przypisy: 151 na s. 523 i 17 na s. 515).

Spełnianiu przez przypisy swej roli nie sprzyjają już same przyjęte w antologii rozwiązania drukarskie. Osobna numeracja przypisów do każdej z części, przy jednoczesnym umieszczeniu ich wszystkich – co najbardziej skądinąd praktyczne – na końcu książki, sprawia, że w nieodległym sąsiedztwie pojawia się po parę przypisów o tym samym numerze. Znalezienie przypisu właściwego staje się czasem trudne, nieodzowna więc chyba byłaby tu „żywa pagina” informująca, do jakich stronic lub przynajmniej do jakiego rozdziału przypisy na danej stronie się odnoszą.

Nie mniejsze niż w innych partiach antologii zamieszanie powodują też uchybienia korektorskie. Nie tłumaczą one przy tym w pełni czytelniczego odczucia, że niezależnie od usterek korektorskich i uchybień rzeczowych w wielu przypadkach sama konstrukcja przypisów, sposób ich sformułowania może wzbudzać wątpliwości. Niektóre z nich cechują się mglistością, brakiem koherencji, zbytnią swobodą terminologiczną. Nagminnie – jak się zdaje – nadużywane jest np. pojęcie aluzji, które odnosi się do najprzeróżniejszych form nawiązywania do Norwida; od ścisłego cytatu po bardzo odległe napomknięcie.

Spróbujmy podsumować. Wśród około tysiąca przypisów wydawcy jest znaczna liczba udatnych, trafnie rozszyfrowujących odległe nawet skojarzenia, aluzje i fakty. Niektóre z nich są znowu często przenikliwym i oświecającym czytelnika przywołaniem cytatów czy informacji ukazujących konteksty, ułatwiających rozumienie, czasem nawet interpretujących i wzbogacających komentowane zjawiska. Jeśli jednak oceniać przypisy i – szerzej – aparat edytorski jako całość, sprawą zasadniczej wagi staje się jego wewnętrzna koherencja, kompletność przy jednoczesnej dyscyplinie,

trafność, kompetencja. A przy tym wszystkim – niezawodność, utrzymanie wszystkich elementów na odpowiednim poziomie poprawności merytorycznej, interpretacyjnej i nawet drukarskiej.

Rzeczą bardzo istotną jest tu przemyślenie całościowej koncepcji aparatu edytorskiego, stworzenie systemu wzajemnych powiązań, odsyłaczy, komentarzy, not i indeksów, który by pozwolił pogodzić potrzeby zarówno danego komentowanego tekstu, czytanego w izolacji, jak i całości zbioru. Wybory o tym rozmiarze i charakterze rzadko czytane są w lekturze linearnej, niemniej byłoby pożądane, żeby poznawane nawet osobno teksty i ich opracowania układały się w spójny, choć z konieczności ułomny i niekompletny obraz. Trzeba by założyć, jak się zdaje, że wszystkie elementy opracowania temu są służebne wobec tekstów i wobec siebie nawzajem elementami jednej całości. Pozwoliłoby to uniknąć licznych powtórzeń odsyłaczy i informacji, które i tak przecież nie dają gwarancji niezawodności<sup>13</sup>.

Takiego „zgrania” jakości informacyjnych i interpretacyjnych edycji niestety nie widać, zarówno w zakresie relacji pomiędzy różnymi elementami opracowania, jak i – zwłaszcza – pomiędzy poszczególnymi rozdziałami. Zabrakło chyba tego ostatecznego (pracochłonnego, ale jakże potrzebnego) zestrojenia różnych elementów opracowania edycji, wyeliminowania danych redundantnych, wydobycia i uwydatnienia wzajemnych powiązań.

#### „KSZTAŁT OBECNOŚCI”

Wstępna rozprawa do antologii napisana została stylem potoczystym, atrakcyjnym i – jeśli wziąć w nawias usterki druku i składni – „dobrze się czyta”. Jej autor wykazał naturalną łatwość problematyzowania materiału, włączenia interesującego cytatu, wprowadzenia urozmaiconych podziałów tekstu. Jednak wykorzystująca te właściwości metoda, w połączeniu z nie tylko systematyzującymi, ale też syntetyzująco-interpretacyjnymi ambicjami, dotycząc przy tym materiału rozległego (i raczej zmitologizowanego przez krytykę niż uporządkowanego wcześniejszą refleksją) zaowocowała tutaj nie najszcześliwiej. Przedstawiona przez Mieczysława Inglota wizja dziejów norwidologii już choćby ze względu na kontrowersyjność przedmiotu wymagałaby osobnej, całościowej dyskusji; na tym miejscu możliwe jest odniesienie się do niej głównie jako do jednego z elementów omawianej książki, w perspektywie jej związków z wyborem.

---

<sup>13</sup> Wobec np. nagminnej (zwłaszcza w nekrologach) praktyki przeinaczania dat narodzin i śmierci poety, jego wieku w chwili śmierci lepszym chyba rozwiązaniem byłoby zwrócenie na to uwagi we wstępie i wyjaśnienie, skąd się dezinformacje wzięły. Tak zaś mamy dziewięć bodaj przypisów prostujących błędy, a i tak w przypisie 93 na s. 504-505, podającym tekst zaproszenia na pogrzeb Norwida (które stało się prawdopodobnie jednym ze źródeł pomyłek), informacja, że poeta zmarł w wieku 59 lat, jest „puszczona” bez komentarza, choć tuż obok (w przypisach 68, 82, 92) pracowicie się błędy poprawia.

Wstęp jest krótki, a postawione mu cele bardzo ambitne, nie zawsze poddające się eseistycznemu tokowi wypowiedzi krytycznej, poniekąd także sobie przeciwstawne. Nie precyzuje ich metaforyczny tytuł *Cyprian Norwid – kształt obecności*. Sugeruje on raczej, w powiązaniu z chronologicznym następstwem kolejnych działów antologii i odpowiadających im partii wstępu, ujęcie modelujące, rysujące główne linie wyłaniającego się z aktów recepcji obrazu Norwida, a ściślej, obrazów, „kształtów obecności” poety w kolejnych okresach. Jednak deklaracje autora sugerują inne zamierzenia; jak czytamy, „Nie jest zamiarem piszącego te słowa opracowanie pełnych dziejów recepcji Norwida. Chodzi o zasygnalizowanie głównych linii odbioru jego twórczości, bez wnikania w złożony mechanizm przyczyn, a ponadto wyłącznie niemal w oparciu o załączony wybór źródeł” (s. 9). Podobnie na s. 17 pisze się o omawianiu nie tyle „kolejnego rozdziału z dziejów recepcji Norwida”, co raczej „wybranych dokumentów ów rozdział ilustrujących”.

Podstawowe pytanie, jakie się tu pojawia, dotyczy wzajemnych relacji wstępu i wyboru: czy mianowicie wybór jest „załączony” do szkicu, jest ilustracją jego tez, czy też jest jego bazą źródłową, wobec której wstęp pełni rolę przewodnika? Jeśli bowiem „główne linie” wyznacza się zgodnie z pewnym wyborem, niezmiernie ważna staje się kwestia, czy pozostają one główne także wobec szerszego uniwersum, całości materiału, g ł ó w n e w o g ó l e; inaczej mówiąc, powraca pytanie o reprezentatywność wyboru, to on przejmuje na siebie ciężar interpretacji dziejów recepcji. Tworzenie uogólnień na podstawie wyboru zakłada wielkie zaufanie interpretatora do antologisty, w naszym przypadku o tyle naturalne, że idzie przecież o tę samą osobę. Jeśli jednak antologista dopełnił swoich obowiązków i ogarnął całość dziedziny, to czy nie byłoby godziwiej, ciekawiej i pożyteczniej, gdyby jako interpretator oparł się na szerszym materiale i zechciał zarysować główne w ogóle linie recepcji, tło, które stanowiłoby nieoceniony dla czytelnika kontekst, pozwalający mu w szerszej perspektywie ujrzeć przedstawiony w antologii ów „drobny ułamek ogromnej, ciągle rosnącej całości” (s. 25), zderzyć zawartość wyboru z owym tłem? Możliwość taka byłaby tym cenniejsza wobec konstatacji, że „Jest to całość dotąd prawie nie opracowana” (s. 25). Troskę zaś o wytyczenie głównych linii recepcji poety w ramach antologii można by zostawić samemu czytelnikowi, mającemu przecież książkę przed oczyma.

Inaczej może wyglądać na to, że autor szkicu wstępnego zastrzega się, bo nie ufa w pełni kompetencjom antologisty, nie jest przeświadczony o generalnej słuszności wyprowadzonych na podstawie wyboru wniosków. Z drugiej strony temperament interpretacyjny do takich uogólnień go popycha. Co i rusz przeczytać więc możemy, iż u Dembowskiego „po raz pierwszy padły słowa o Norwidzie jako poecie zawiedzionych nadziei” (s. 6), że „najostrzej” sformułował pewne zarzuty Kraszewski, któremu „zawdzięczał Norwid [...] opinię poety mozaikowego” (s. 10), że kreowanie poety na proroka nastąpi „dopiero w XX wieku” (s. 11), że „najdalej na [...] drodze poetyckich intronizacji poszedł” Nowaczyński (s. 16), w krytyce Norwida – Władysław Mickiewicz, zaś „najciekawiej ocenił” innych krytyków Brzozowski (s. 17). Znajdziemy we wstępie wyliczone „podstawowe zarzuty stawiane Norwidowi w latach 1849-83” (s. 10), pogląd, że „Odkrycie Norwida przez Miriama było

najważniejszym faktem” recepcji młodopolskiej (s. 15), że Gomulicki „zwrócił uwagę na szaradomanię Jana Norwida”, a Wyka „sformułował pogląd o stopniowym dojrzewaniu poety” (s. 19), że „Od początku lat trzydziestych narastała fala krytyki [...] przeciwko Miriamowi” (s. 21), natomiast „Dopiero po wojnie owocować zaczęły teoretyczne przemyślenia Ignacego Fika” (s. 22).

Trudno zaprzeczyć, że wszystkie w zasadzie te wyrażenia (a jest podobnych więcej) odsyłają do całości: aby stwierdzić, kto „najciekawiej”, kto „najostrzej”, kto „sformułował”, w jakim okresie dany proces miał miejsce, i mieć nadzieję, że mówi się prawdę, trzeba rozporządzać w miarę pełnym obrazem. Inaczej zdajemy się na „przypadki i trafy”, zaś znaczna część naszych uogólnień uzyskuje charakter prawd ułomnych, tylko warunkowych, co przydarzyło się także części z cytowanych formuł. Te zaś, które są trafne, zawdzięczają to zapewne przyjęciu przez autora szerszej, niż wyznaczona zastrzeżeniami, perspektywy oglądu.

Jednak zmierzając w istocie ku ujęciu syntetycznemu, autor wstępu nie potrafił zrezygnować z (dominującej u jego poprzedników w serii) praktyki omawiania możliwie wielu zawartych w antologii tekstów. Ta ambicja połączenia we wstępie dwu poniekąd przeciwstawnych tendencji stała się też chyba głównym praktycznym powodem jego niedostatków. W rezultacie bowiem i uogólnienia nie zawsze wydają się trafne i dostatecznie uzasadnione, i skrótowe (z konieczności) charakterystyki poszczególnych prac, podporządkowane tezom, które miały dokumentować, nie mogły uniknąć uproszczeń, stając się czasem przejawami niezbyt dokładnego zrozumienia referowanych stanowisk. Narzucona wywodowi skrótowość powoduje, że relacja przechodzi niejednokrotnie w symplifikację, praktykę „etykietkowania”. Weźmy przykład: „Dla Jana Błońskiego Norwid okazał się kreacjonistą, współtworzącym świat znaków i znaczeń. Pogląd Juliana Przybosa okazał się bardziej złożony” (s. 23). Poświęca więc krytyk Przybosowi szerszy wywód, z którego zresztą wynika to, co jeszcze wyraźniej widać w samych artykułach Przybosa, że mianowicie pogląd był nie tyle złożony, co chwiejny i wewnętrznie sprzeczny. A interpretacja Błońskiego (w istocie jedna z bardziej w norwidologii przenikliwych i wyrafinowanych) prawda? – jaka prościutka... Da się ująć w jednym (nie zachwycającym logiką) zdaniu, można też z niej wystrzyc dwa, trzy kawałki, bo przecie jeśli ukazała się w „Twórczości”, a „Nowy Korbut” notuje ją w dziale „recenzji”, to można odsunąć podejrzenia, że tu też może występować „ciąg logicznie zwarty” (s. 33).

Nader swoiście został też potraktowany Zdzisław Łapiński, który dopiero tutaj zyskał zapewne szansę uświadomienia sobie, że jakkolwiek opowiadał się i „za Norwidem”, to jednak był „przeciw Norwidowi jako twórcy estetyzujących eksperymentów” (s. 24). Może nie byłoby rzeczą tak zupełnie obojętną, czy jest tak, że „doczytał się [on – M. B.] w utworach Norwida głosu przestrogi przed totalitarnymi konsekwencjami skrajnych doktryn i praktyk społecznych” (s. 24), czy też idzie o przesłanie, którego u Norwida może (powinien) doczytać się każdy uważny czytelnik, a które Łapiński trafnie odsłonił. Może też nie byłoby od rzeczy wspomnieć, skoro

już kwestia ta została poruszona, że będące rezultatem „doczytania się” ustalenie zostało przez krytyka obszernie rozwinięte i uzasadnione w osobnym artykule<sup>14</sup>.

Już parę powyższych przytoczeń pokazuje, że jakości wywodu nie poprawia niestety fakt, że autor, realizując istotnie ambitne zamierzenia, stara się przy tym nie uронić z eseistycznego wdzięku tekstu, zabiegając o kolokwialną lekkość stylu, urodę sformułowań – choćby i z pogwałceniem sensu. Stąd semantyka wielu sformułowań jest pokrętna, czasem trudno wręcz powiedzieć, czy to, co czytamy, jest rezultatem niezrozumienia, błędnej interpretacji, niedoskonałości wyrazu czy też pospolitego błędu druku. Przyjrzyjmy się obszerniejszemu przykładowi:

W adoracyjnej wersji młodopolskiej recepcji Norwida padają sądy o różnej wartości. Niektóre cenne i obiektywne, inne dyktowane potrzebą chwili – i niezbyt wyważone. Te ostatnie tyczą odwiecznego problemu miejsca na Parnasie, wskrzeszonego przez Miriama. I tak Zygmunt Malewski, urzeczony Norwidem, uznaje go za dziedzica „harfy” wieszczów, detronizując Wyspiańskiego, któremu takie miejsce zdążyła już przyznać ówczesna krytyka. Malewski, trafnie nawiązując do uwag Przesmyckiego o gawędziarskich upodobaniach polskiej publiczności, uznał Norwida za poetę budzącego Polaków z romantycznego snu, przemawiającego „raczej do serc swą tężyzną niż duchową głębią”. Najdalej na owej drodze poetyckich intronizacji poszedł Adolf Nowaczyński, kreując Norwida na poetę godnego zająć pierwsze miejsce na Parnasie, z którego wyrzucał wielką Trójcę (s. 15-16).

Przytoczony akapit, dość dla wstępu niestety charakterystyczny, łączy w sobie wszystkie trzy wspomniane tendencje: próbę uogólnienia (natury „adoracyjnej wersji [...] recepcji”), omówienie poglądów krytyków (co znamienne – tylko tych „niezbyt wyważonych”; które to były te „cenne i obiektywne” – ani słowa) oraz zawiłość wywodu. Z omówienia wynika chyba, że Malewski uważał, iż to Norwid przemawiał „do serc” raczej „swą tężyzną niż duchową głębią”. Jeśli jednak zajrzemy do przedruku (s. 162), okaże się, że czyniła to „łatwo zrozumiała poezja i literatura” romantyków krajowych. Trudno się tam też doczytać „detronizacji” Wyspiańskiego, jeszcze trudniej – zajrzawszy do króciutkiej wypowiedzi Nowaczyńskiego (s. 175) – zachwycić się dokładnością relacji. Imiesłowowa niejednoznaczność zdania o Malewskim dopuszcza, co prawda, lekcję, że to „sen” przemawiał „tężyzną”, trzeba by jednak to uosobienie snu jakoś uwyrażnić. Tak czy owak – jakość omówienia nie wzmacnia na pewno zaufania czytelnika i do tezy ogólnej, i do sformułowanych ocen. Dodajmy, że po przykłady „sądów” – „dyktowanych potrzebą chwili – i niezbyt wyważonych” sięgnięto do tekstu tak specyficznego jak *Parerga...* Nowaczyńskiego (w antologii: „Pererga”) i do okolicznościowego odczytu, dostępnego zresztą jedynie w dziennikarskim sprawozdaniu (?).

Niezależnie od tego, że autor wstępu raczej gani „cytatomanie” piszących o Norwidzie, sam wykazuje niewątpliwy talent w wyszukiwaniu i przytaczaniu trafnych sformułowań innych badaczy, często w efektownej funkcji otwierania bądź zamykania

<sup>14</sup> Z. Ł a p i ń s k i. „Spółczesny ekstrem”. W: *Cyprian Norwid. W 150-lecie urodzin. Materiały konferencji naukowej 23-25 września 1971*. Pod redakcją M. Żmigrodzkiej. Warszawa 1973 s. 110-123. Przedruk w książce Łapińskiego *Jak współżyć z socrealizmem* (1988).

poszczególnych partii własnych rozważań. Taki charakter mają obszerne przytoczenia z Czajkowskiego, Gomulickiego, Zaniewickiego, Stefanowskiej, samego Norwida, Wyki (odpowiednio strony: 5, 9, 14-15, 17-18, 25, 27). Chciałoby się nawet powiedzieć, że to właśnie cytaty należą do najwartościowszych partii wstępu.

Stara się też autor umieścić własne rozważania w perspektywie współczesnych teorii estetycznych, literaturoznawczych i socjologicznych. Czasem odwołania wkomponowują się harmonijnie w wywód (np. w kwestii „artystycznych hierarchii” czy pojęcia „współczesności” sztuki – s. 20, 27), czasem jednak razi powierzchowne i częściowe wykorzystanie przywoływanej koncepcji. Ma to miejsce – co ciekawe – w tych fragmentach wstępu, w których kumulują się także inne niedostatki.

Rozważmy dwa przykłady. Po przytoczeniu fragmentu rozprawy Stefana Morawskiego *Sztuka łatwa i sztuka trudna* autor pisze:

Obszerny cytat [...] poświęcony ontologicznej perspektywie dyskusji [...] został tu przytoczony celowo, aby zwrócić uwagę na złożoność problemu, z chwilą – a to nastąpiło dopiero w dwudziestolecie – gdy stał się przedmiotem dyskusji. Zaczął ową dyskusję Karol Irzykowski, wypowiadając się przeciw futurystycznym prądom w poezji ówczesnej i pośrednio tylko wspominając o Norwidzie jako patronie tych prądów. Zaatakowani odpowiadali równie ostro, ale w ich głosach również problem Norwida został potraktowany marginesowo. W roli obrońcy Norwida wystąpił natomiast Józef Ujejski. Przyjął on w zasadzie oskarżenie o niezrozumiałość i niejasność, nie zgadzając się jednakże z przypisywaną Norwidowi motywacją. Nie snobizm – jak sugerował Irzykowski – ale określony, świadomy zamiar twórczy miał pocie podyktować niejasny sposób pisania. Irzykowski, odpowiadając na zarzuty, najwięcej uwagi poświęcił głosowi Ujejskiego. Podtrzymał swoje poglądy, a nawet je wzmocnił, oskarżając Norwida o szczególnie rodzaj niejasności – o nieczytelność. Zdaniem krytyka, Norwid należał do poetów budujących szarady z nielogicznie dobieranych przesłanek (s. 18-19).

Omówienie powyższe uderza nieadekwatnością nawet w konfrontacji z drobnymi, zamieszczonymi w antologii fragmentami dyskusji. Nie jest zbyt precyzyjny sam wywód: trudno dociec, dlaczego złożoność jakiegoś problemu miałaby zależeć od chwili, w której jest dyskutowany, dlaczego eskalacja zarzutów miałaby „wzmocniać” poglądy Irzykowskiego (w tym akurat przedmiocie i mętne, i zasadniczo mylne), można by się zastanawiać, co to znaczy, że krytyk „pośrednio wspomniał”, kiedy widać, że wprost wymienia Norwida jako jeden z „czterech walnych autorytetów” współczesnych sobie „niezrozumiałców” (s. 198). Nie lepiej jest też ze zrozumieniem referowanych stanowisk. Nie bardzo jest tak, że w głosach polemistów „problem Norwida został potraktowany marginesowo” – jeśli nawet przystać na taką kwalifikację, to trzeba by dodać, że i Miller, i Hulewicz bystrze zauważyli, iż właśnie przykład Norwida obnaża słabe strony wywodu Irzykowskiego. Błędnie zrozumiany został, jak się zdaje, Ujejski, piszący przeciw o „błędzie organicznym talentu”, niemożności pisania „jasno”, „szczerzej wierze we własną prawdę wewnętrzną” jako determinantach trudności Norwida (s. 199-200). Czy można to nazwać „świadomym zamiarem twórczym”? Orientacji czytelnika nie wspomaga też wybór i sposób opracowania fragmentów dyskusji (pominięcie racji oponentów Irzykowskiego, błędy w nocie (gdzie określono pierwodruk listu Norwida jako „przedruk”, s. 198) i w

przypisach, gdzie pomyłono Marię Jehanne-Wielopolską z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską (s. 525, przypis 12).

Zważywszy więc na rezultaty, może lepiej było albo dać omówienie rzetelniejsze, albo ograniczyć ambicje do zasygnalizowania dyskusji i dokładnej informacji bibliograficznej, której pożytecznym składnikiem byłaby też pewnie wzmianka, że do dyskusji jeszcze w dwudziestoleciu nawiązywano (m.in. piszący „o wstrętnym pojęciu «niezrozumiałstwa»” Witkacy, Hulewicz i sam Irzykowski), a większość głosów lub ich fragmentów jest dostępna w powojennych wydaniach prac krytycznych Irzykowskiego (i Witkiewicza). Tak zaś powstała pseudosynteza dyskusji, utrwalająca wprowadzone przez Irzykowskiego zamieszanie terminologiczne (zonglowanie terminami: niezrozumiałstwo, trudność, niejasność, nieczytelność, bez ich bliższego określenia) i raczej nie zgłębiająca istoty sporu. Cytat z Morawskiego może i zwraca uwagę „na złożoność problemu”, ale niewiele pomaga w jego rozjaśnieniu, dotyczy bowiem tylko jego „ontologicznego” aspektu, jednego z pięciu w systematyce autora i wcale nie najważniejszego. Sama dyskusja – niestety – zagadnienia trudności jako właściwości strukturalnej dzieł dotyka w stopniu nieznacznym, koncentrując się raczej na kwestiach psychologii twórczości i odbioru, zagadnieniu dziwactwa autora bądź jego taktycznej gry z czytelnikiem, mieści się więc raczej z ramach podsystemów określanych przez Morawskiego jako psychologiczny, antropologiczny czy socjologiczny. Ontologiczna, ergocentryczna perspektywa w rozważaniach natury „trudności” Norwida pojawia się w norwidologii wyraźniej dopiero chyba w dyskusjach lat trzydziestych, najambitniej może w polemice J. Brauna z K. W. Zawodzińskim na łamach „Zetu”, w recenzjach i polemikach związanych z antologią Miriama, wydaniem Piniego i *Norwidem* Wasilewskiego.

Inny z kolei przykład niefortunnego odwołania się do pewnej całościowej koncepcji dla wydobycia z niej atrakcyjnych formuł znajdziemy w próbie uogólnienia stosunku krytyki do Norwida. Zdaniem autora wstępu pod wpływem „mitu poety niepojmowanego przez publiczność [...] pisząc o Norwidzie odwoływano się bezustannie do jego tekstów, pochylając się nad nimi z rzewnością zachwyconego odkrywcy-filologa czy z satysfakcją potencjalnych wieszczów. Ukształtował się swoisty sposób pisania o Norwidzie. Poświęcone mu publikacje przypominają ciasto z rodzynkami – z cytatami w roli rodzynek. Bo Norwid był czytany w ramach mitycznego stylu odbioru, którego [?] dopiero pod piórem bardziej erudycyjnie odważnych krytyków przekształcał się w styl alegoryczny<sup>15</sup>, poszukujący pewnych, racjonalnych fundamentów do wiary w wielkość Norwida” (s. 27).

Odnotować trzeba, że sformułowania powyższe pojawiają się pośród końcowych „ogólnych uwag na temat zasadniczych rysów recepcji Norwida” i „na zasadzie hipotez, wymagających weryfikacji” (s. 25). Nie zwalnia to nas jednak od konstatacji, że czytelnik, który nie zajrzy do wskazanego odsyłaczem studium Głowińskiego (zob.

<sup>15</sup> Artykułem *Jak czytać poetę* („Zet” 1 II 1934), będącym odpowiedzią na esej Zawodzińskiego *Odkrywająca i zakrywająca norwidologia* („Droga” 1933 nr 11), otworzył Braun ogólniejszą dyskusję na temat istoty sztuki Norwida; włączyli się do niej muzykolog Konstanty Regamey i historyk sztuki Karol Homolacs.

przypis 15 na s. 35), zdobędzie raczej fantastyczne wyobrażenie o naturze przywoływanych „stylów odbioru”; jeśli zaś zajrzy, skłonny będzie raczej powątpiewać w trafność zaproponowanych uogólnień. W każdym razie byłby zapewne wdzięczny za oświecenie go, jaki bezpośredni związek zachodzi między mitycznym stylem odbioru a obyczajem odwoływania się do tekstów poety, dlaczego „poszukiwanie racjonalnych fundamentów dla wiary w wielkość” cechuje akurat styl alegoryczny i dostępne jest krytykom „erudycyjnie odważnym”; czy „wiara” oznacza tu ma „przeświadczenie”, pogląd, czy sugeruje się raczej wynikającą z kultowego otumanienia „fałszywą świadomości”, pobożne życzenia wielbicieli. Czy wreszcie da się bogactwo form odbioru Norwida zbyć przyklejeniem dwu etykietek, zapominając o pozostałych możliwościach i ignorując fakt, że w konkretnych aktach recepcji jakiegokolwiek modele teoretyczne zapewne bardzo rzadko występują w postaci czystej, wyłącznej.

Spróbujmy podsumować. Właściwości wywodu Inglota i zarysowany w nim „kształt obecności” Norwida w świadomości Polaków prowadzą do wniosku, że choć cytatów z Norwida „w roli rodzynek” tu niewiele, wstęp wpisuje się – niestety – w bogatą w norwidologii tradycję mitologizacji zjawisk i faktów dotyczących Norwida. Autor nie potrafił chyba wyzwolić się od skądinąd przemożnej presji uporczywie utrzymujących się obiegowych opinii i legend, utrwalając stare mity, a czasem nawet dając asumpt do powstawania nowych.

Taki charakter ma niezbyt sprawiedliwa, powtarzająca zarzuty alergicznych na młodopolski „estetyzm” krytyków międzywojennych prezentacja młodopolskiej recepcji Norwida. Nie bardzo przy tym wiadomo, kim ci biedni moderniści byli, skoro bowiem „zaatakował modernistów” i Przesmycki, i Wiktor Gomulicki, i Brzozowski, i Władysław Mickiewicz, i „profesorowie” (s. 16-17), to przy takim pogmatwaniu stanowisk nie dziwi już pogląd, że niewydarzona książka Krechowickiego przeciwstawiała – zdaniem autora wstępu – „impresjom modernistów solidnie jak na owe czasy udokumentowaną relację”, że za najciekawszy uznany został jednostronnie przejawskrawiony pogląd Brzozowskiego na stosunek młodopolskiej krytyki do Norwida (s. 17). Wagę podobnie wątpliwych konstatacji mają też uogólnienia dotyczące „swoistości” sposobu pisania o Norwidzie (s. 27) i „swoistej obyczajowości recepcji” w okresie miriamowskim (s. 27, 15).

Deformacja obrazu recepcji Norwida najwyraźniej ujawniła się, co poniekąd zrozumiałe, w sposobie ujęcia centralnej przez dziesięciolecia roli Przesmyckiego i ocenie tej roli. Jak wiemy, wpływu obiegowych opinii i legend na swój pogląd o tajemniczym wydawcy Norwida nie ustrzegł się nawet tak gorący jego późniejszy admirator jak J. W. Gomulicki, o czym – w odniesieniu do lat przedwojennych – sam wspomina, a co można obserwować jeszcze w jego komentarzu do omówienia procesu Miriam – Pini w książce Olgierda Missuny (1957). Niestety i we wstępie, i w sposobie opracowania antologii dostrzec można i niedostateczne rozeznanie co do faktycznej działalności Miriama, i sądy jakże podobne do formułowanych w norwidologii przed parudziesięciu laty. Kiedy się czyta, że „Norwid zyskał Miriama, mimowolnego papieża norwidologii, najbardziej wtajemniczonego dysponenta tekstów poety” (s. 27), zaś „swoiste pojęcie hierarchii” wytworzyło się w ten sposób, iż od czasu odkrycia Norwida „Miriama kreuje się na papieża norwidologii, a on sam z



wysokości swojej wiedzy, opartej na znajomości ineditów, formułować zaczyna oceny postępowania innych krytyków wobec Norwida” (s. 15), wypada tylko ulitować się nad Przesmyckim. Bierną kukłą, z której jakieś anonimowe siły kreuja „papieża norwidologii” (i to w dodatku „mimowolnego”), przekazują jej tajemnicę skarbca ineditów i związany z ową tajemnicą przywilej dyktatu i nieomylnego sądu. A może by tak nieśmiało przypuścić, że wspomniana hierarchia oparta była nie na rytuale i dymie kadzideł, ale na rzeczywistej kompetencji, wybitnej nie tylko „jak na owe czasy”?

Franciszek P e p ł o w s k i – *SŁOWNIK JĘZYKA CYPRIANA NORWIDA*

*Słownik języka Cypriana Norwida. Zeszyt próbny.* Redaktorzy tomu: Jolanta Chojak, Jadwiga Puzynina, Ewa Teleżyńska, Ewa Wiśniewska. Poszczególne hasła opracowali: *Acz* (Jolanta Chojak), *Bynajmniej* (Ewa Wiśniewska), *Głęboki* (Magdalena Danielewiczowa), *Jutro* (Ewa Teleżyńska), *Ku* (Radosław Pawelec), *Łza* (Jacek Leociak), *Mojżesz* (Jacek Leociak), *Mówić* (Ewa Wiśniewska), *Siedem* (Jadwiga Puzynina), *Wolność* (Aleksandra Zawłocka), *Złoty* (Ewa Teleżyńska). Uniwersytet Warszawski – Wydział Polonistyki – Pracownia Słownika Języka Cypriana Norwida. Warszawa 1988 ss. 161.

Wyżej wymienione artykuły hasłowe poprzedza *Wstęp* Jadwigi Puzyniny oraz *Instrukcje*: 1. transliteracji i transkrypcji; 2. hasłowania i opracowania gramatycznego wyrazów hasłowych; 3. opracowania redakcyjnego artykułów hasłowych w *Słowniku języka Cypriana Norwida*; 4. opracowania redakcyjnego artykułów hasłowych w „Zeszytach słownikowych” oraz *Wykaz źródeł i skrótów tytułów utworów C. Norwida*.

Z inicjatywy prof. Jadwigi Puzyniny jesienią 1983 r. rozpoczęto prace nad *Słownikiem języka Cypriana Norwida* (dalej: SJCN). „Motywem ich podjęcia – jak informuje Inicjatorka we *Wstępie* do „Zeszytu próbnego” – było przekonanie o ważności spuścizny Norwida dla kultury polskiej, ważności przede wszystkim w zakresie treści, jakie ona niesie, ale także formy – języka poetyckiego, stylu epistolarnego i publicystycznego Norwida. Ta forma – trudna, a bardzo świadomie przez Norwida kształtowana – stanowi o potrzebie prac słownikowych i szerzej – prac nad językiem autora *Rzeczy o wolności słowa*. Wydają się one konieczne po to, by pełniej zrozumieć treści zawarte w jego utworach, a także by rozpoznać i ocenić blaski i cienie jego kunsztownego języka poetyckiego oraz osobliwości różnych gatunków jego prozy” (s. 1).

Przytoczona wypowiedź w pełni uzasadnia potrzebę opracowania SJCN oraz konieczność stworzenia optymalnych warunków do jego publikacji.

Oczywiście wartość i znaczenie SJCN, będącego wspólnym warsztatem badawczym języka, stylu i myśli poety, wykracza znacznie poza potrzeby norwidologów. Opublikowane dzieło będzie znakomicie służyło badaczom języka i stylu całej epoki. Monumentalny *Słownik języka Adama Mickiewicza* (t. I-XI, 1962-1983; dalej: SJAM)